Nr. 34. Lwów, Niedziela dnia 29. Kwietnia 1877 r. Tom V.

TYGODNIK

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 50 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Nowa Szkoła

PRZY MUZEUM PRZEMYSŁOWEM.

Otwarcie szkoły rysunków i modelowania przy miejskiem muzeum przemysłowem, stanowić będzie w dziedzinie rozwoju naszego krajowego przemysłu ważną i niezaprzeczenie bardzo doniosłą epokę. Nasz rzemieślnik użyty gdziekolwiek za granicą, ucząc się tam i nabywając wprawy, wznosi się w bardzo krótkim czasie po nad poziom prostego robotnika i jest, jak to z bardzo licznych przykładów widzieć możemy, cenionym i poszukiwanym; tylko u nas w kraju, ze smutkiem to wyznać musimy, stoi rzemieślnik na stosunkowo bardzo niskim stopniu rozwoju, a wyłączną prawie przyczyną tego jest brak fachowego wykształcenia, a często brak zupełnej znajomości materyału, z którym ma do czynienia, i nieznajomość stylu pociągająca za sobą brak smaku artystycznego. Rzemieślnik nasz jest zwykle tylko złym wyrobnikiem, nigdy jednak, a przynajmniej nadzwyczaj rzadko rzemieślnikiem artystą.

Inaczej rzecz się ma za granicą, szczególniej we Francyi, a w ostatnich czasach i w Wiedniu, gdzie inaczej się zapatrują na przemysł i gdzie dbają o to, żeby rzemieślnik już od samego początku, gdy sobie zawód obiera, kształcił się w odpowiednim kierunku. Tam rzemieślnik, wraz z pierwszymi początkami czytania i pisania uczy się rysować, nabywa po kilku latach niezbędnej wprawy, zaznajamia się na wzorach z historyą rozwoju przemysłu, a w szczególności tej gałęzi, której się poświęca. Uczy się on, jeśli się wolno tak wyrazić, nowej mowy, uczy się wyrażać myśli swoje za pomocą rysunku, pomysły swoje przelewać na papier.

Cofnijmy się na chwilę wstecz i zobaczmy jak wpływ znajomości rysunku na przemysł przejawiał się w historyi rozwoju przemysłu. Nie potrzebujemy szukać daleko, — zróbmy tylko pobieżny przegląd wystaw powszechnych. Już pod czas wystawy w r. 1852 uznała Anglia ważność rysunków przemysłowych, przekonawszy się, że Francya przewyższa ją pod każdym prawie względem, tak co do artystycznego wykonania jak i smaku w przemysłowych przedmiotach. Anglia imponowała ogromną masą surowych wyrobów przysłanych z posiadłości tego państwa, rozrzuconych po całym świecie; Francya zaś niezrównanem wykonaniem, pięknością form, wyrobionym smakiem i zastosowaniem wykonania do jakości materyału.

Zaraz po r. 1852 zaczęto zakładać w Anglii szkoły fachowe rysunków na wzór francuskich, i już na wystawach w r. 1857 a szczególniej 1867 okazał się ich zbawienny skutek; widocznym był ogromny i ciągły postęp w fabrykach angielskich.

Jakkolwiek przemysł austryacki zajmował na wystawie z r. 1857 wcale wybitne stanowisko, to jednak pod względem artyzmu stał o tyle niżej od francuskiego, że nie mógł z nim wcale konkurować, chociaż nawet niektóre przedmioty dawały się taniej w Austryi wyrabiać. Doświadczenia na wystawach zrobione, przekonały nareszcie decydujące sfery, że chcąc wyrobić sobie odbyt za granicą, trzeba naśladować Francyą, trzeba od początku wpajać w rzemieślnika poczucie artystyczne, trzeba dla niego zakładać szkoły.

W r. 1863 założono też w Wiedniu Muzeum dla sztuki i przemysłu, z początku w bardzo skromnych rozmiarach. Już w niespełna lat 10 wpływ Muzeum tego okazał się tak znakomitym, że na wystawie powszechnej w 1873 wyroby austryackie w niektórych działach nietylko dorównywały francuskim, ale nawet nieraz je przewyższały pod względem czystości stylu. Przypomnijmy tylko sobie owe pyszne wyroby ze szkła, z gliny, skóry i dywany. Jeszcze wybitniej okazał się wpływ Muzeum tego na wystawie zeszłorocznej w Monachium, gdzie wyroby artystyczne przemysłowe austryackie stanęły bezwarunkowo na pierwszem miejscu wobec wyrobów z całych Niemiec nagromadzonych.

Wpływ ten zbawienny Muzeum został wywarty w ten sposób, że w całem państwie, a szczególniej w Czechach, Morawii, Austryi górnej i niższej, Karyntyi i Styryi, potworzono szkoły fachowe.

Galicya, jak i pod każdym innym względem, zapomnianą została przez rząd i nie mogła się nawet z tej strony spodziewać opieki, bo każdy rozwój w dziedzinie przemysłu w Galicyi znaczył tyle, co ujęcie drogi odbytu dla przemysłu innych prowincyi austryackich. Prąd jednak wywołany sukcesami przemysłu austryackiego, a znajdujący wyraz *w podniesieniu przemysłu*, tak przejął wszystkie warstwy i osobistości w Austryi, iż można się było spodziewać, że jeżeli kraj sam pierwszy krok uczyni, i sformułuje żądanie swoje dobitnie i wyraźnie, to władze dotyczące, głosząc wszędzie chęć podniesienia przemysłu, nie będą mogły odmówić pomocy dla celów podobnych i w naszym kraju. Pierwszymi krokami w tym celu porobionymi ze strony kraju naszego były: założenie Muzeum przemysłowego w Krakowie a następnie we Lwowie.

Muzeum krakowskie techniczno-przemysłowe mniej przeważnie ma przemysł na względzie, muzeum zaś lwowskie postawiło sobie za zadanie wspierać i rozwijać przemysł krajowy, i to głównie w tych kierunkach, które przedstawiają jak najwięcej widoków pomyślnego rozwoju. Zadaniem muzeum jest kształcić szerszą publiczność, okazując wyroby wzorowe, zwolna przyzwyczajać tę publiczność do form prawdziwie pięknych i wyrobić zdolność rozpoznawania artystycznej strony wyrobów przemysłowych. Zadanie to jednak wypełnia się nie całkowicie, jeżeli się równocześnie nie kształci rzemieślnika. A rzemieślnik tylko w *szkole fachowej* i należycie kierowanej wykształcić się może. Od chwili więc założenia Muzeum, zarząd miał ciągle na myśli utworzenie odpowiedniej szkoły. Obecnie cel ten jest urzeczywistniony i miasto uzyskało z otwarciem szkoły fachowej rysunków i modelowania, ważny czynnik do rozwoju i wykształcenia naszego rzemieślnika. Muzeum przemysłowe od tej chwili stało się istotnie żywotnem.

W jednym z następnych numerów *Tygodnia* podamy szczegółowe opisanie szkoły i jej urządzenia, — na dziś, miłym naszym obowiązkiem jest skonstatować, że zarząd muzeum, dążąc od samego założenia do utworzenia szkoły, oddał

krajowi znakomitą przysługę i zostawił po sobie trwałą pamiątkę w historyi rozwoju naszego przemysłu. Nie potrzebujemy tu wyliczać nazwisk osób, które się głównie do wprowadzenia myśli w czyn przyczyniły; ich trudy znają dobrze ci, których obchodzi dobro kraju i ci będą też ich zawsze otaczali czcią za pracę cichą a mozolną.

Mania Curaciosa

obrazek z życia u wód

przez

Autora Kłopotów starego komendanta.

(Dokończenie).

Tymczasem pokazuje się Jakób z tacą, którą z całym respektem stawia przed Hortensyą.

— Śliczne mięso... a soli?... Ja bo mogę iść pod górę... nawet to bardzo zdrowo... Filuś, szkaradniku, mówię ci, bądź grzecznym... Ja, dzięki higienicznemu życiu, nie doświadczam braku sił... Ależ ty, Filuś, zwaryowałeś, fe... nie napieraj się...

— To to lekarstwo z Sumatry, o którem wujcio pisał? — zapytuje Marynia.

— Toż samo, które doktor zapisał przed miesiącem z Anglii... wszyscy się zgadzają, że niezawodne...

Wśród tej rozmowy, i że tak powiem, rozkoszowania się sztuką mięsa przez pannę Hortensyą, Matylda zajęła miejsce na prost drzwi wchodowych od domu tak, że idący przez sień Stanisław mógł ją zobaczyć z daleka.

— Dowiedziałem się! już przyjechała o jedenastej!... — woła rozpromieniony młodzian wpadając żywo do ogródka.

— Pan Stanisław! — odzywa się nagle zarumieniona Marynia, i nie zważając czy to będzie przyzwoitem dla młodej panienki, zrywa się szybko z krzesła, chwyta za rękę Stanisława, ciągnąc go w stronę wujaszka. — Wujciu kochany, to właśnie pan budowniczy!

— Tam do dyabła — pomyślał sobie zaskoczony tem nieprzywidzianem spotkaniem młodzieniec, a straciwszy kompletnie fantazyą mógł tylko wybąknąć:

— A, a, a, a... to pan wujaszek!...

— A, a, a, a.... to pan łyżeczka tabaki! — odpowiedział również zdziwiony pan Klemens z miną marsowatą.

— Radzę panu, panie Stanisławie, zawsze tu jadać sztukę mięsa... delicye... mówię panu delicye...

— Cóż wujcio taką minę zrobił i mówi o jakiejś tabace? — rzecze Marynia trzymając za rękę Stanisława — to pan Stanisław, o którym wujciowi pisałam.

— Zginąłem — szepnie brat Matyldzie — kto się mógł spodziewać, że ten Piotrowina... zlituj się, ratuj!

— Omyliłaś się, moje dziecko - przemawia wolno z całą ironią pan Klemens — pisałaś mi, że on jest budowniczy, a ja tego pana, jako brata pani Matyldy, poznałem przed godziną w charakterze doktora medycyny.

— Panie Stanisławie, co to jest? — pyta zatrwożona panienka.

— Bardzo brzydko ukrywać swoje powołanie! — wtrąca Hortensya — fe, jak można kogoś mistyfikować. Filuś, mówię ci raz ostatni, za karę nic nie dostaniesz!

— Mój brat — odzywa się wdowa do Maryni — nie wiedząc że sąsiad nasz pan Klemens jest wujem pani, był bardzo dla niego niegrzecznym...

— Powiedz pani, impertynenckim, wtedy, gdy ja chciałem mu okazać najżywszą życzliwość.

— Niestety, prawda! — krzyknie z desperacyą Stanisław — jestem brutal... jestem waryat! jestem... i jeżeli pan profesor zrobi mi tę łaskę i pozwoli się przeprosić...

— Wuju! — rzecze błagalnie Marynia.

— Panie Klemensie! — dodaje takimże tonem Matylda.

— Przepraszam moje panie, pan Stanisław jak widzę jest pełnoletnim i człowiekiem zajmującym w świecie już pewne stanowisko, a zatem powinien wiedzieć, że błagać o przebaczenie mogą tylko dzieci...

— Ależ ja kocham pannę Maryą!... ja bez niej żyć nie mogę... ja się zabiję! — krzyczy z rozpaczą Stanisław.

— Nie żartuj pan — mówi chłodno Klemens — cała ta miłość, to tylko mania sercowa. Pozwól, że za jego radą odwdzięczę mu się daleko lepszą radą. Każ pan sobię przez trzy dni naczczo wbijać po kilka prawdziwie dębowych klinów do głowy, a zaręczam wybijesz sobie kompletnie myśli o mojej siostrzenicy... Radzę panu to zrobić, ja, wuj i opiekun Maryni...

To powiedziawszy kłania się etykietalnie pan Klemens, i z całą powagą wchodzi do drzwi domu zostawiając całe towarzystwo w nieopisanem zdumieniu.

— Widzisz, coś narobił! — mówi z wyrzutem Matylda.

— Mój Boże, mój Boże, jakie nieszczęście! — desperuje Marynia chodząc szybko po ogródku.

— Moje dziecko, Maryniu — rzecze chwytając ją za rękę Hortensya — tylko bez irytacyi... I mnie bardzo przykro co słyszę, wierz mi.. martwiłabym się tak samo, ależ po jedzeniu nie mogę... całe trawienie na nic, żółć działałaby nad miarę..

— Matyldo droga — rzecze błagalnie Stanisław — ty jeszcze możesz to wszystko naprawić.

— Wuj nie da się przeprosić, ja go znam... obraźliwy.

— Wyborny ten sos kartoflowy, szkoda zostawić — mówi do siebie Hortensya, wracając do stołu; a wziąwszy kawałek chleba na widelec, macza nim w talerzu... wyborny!...

Wtem nagle za jej plecami otwierają się obie połowy okna, i rój much pędzonych ręcznikiem z wewnątrz pokoju opada ją gradem i topi się w pozostałym jeszcze sosie na talerzu.

— A sio, a sio! — woła zacietrzewiony radca machając wciąż ręcznikiem. — Miłosierdzie Boże, a sio, natręty! a siosio!...

— Co to jest? — krzyknie zaczerwieniona Hortensya obracając się ku oknu.

— Wypędzam muchy! — odpowiada radca machając ciągle ręcznikiem i nie zważając, że ubiór jego wcale nie odpowiada temu, w jakim się damom prezentować należy.

— Bardzo grzecznie... wrzucać mi muchy do sosu... a to facecye...

Radca, ani słyszy groźnych słów panny, lecz wypędziwszy muchy, zamyka nagle okno i spuszcza roletę.

— Cóż to za facet jakiś? — pyta Hortensya zwracając się ku Matyldzie.

— Przepraszam panią za niego, to mój ojciec.

— Ani sposób wysiedzieć teraz w pokoju! — mówi do siebie radca wychodząc już ubrany w palto ze drzwi domu i co chwila dając sobie klapsa w łysinę... — A masz, a masz!.. miłosierdzie Boże, co one mają za satysfakcyą siadać na łysych głowach... Przepraszam acanią dobrodziejkę — ciągnie dalej radca zwracając się do Hortensyi — nie widziałem, ależ bo gryzą, chyba ma się na burzę... A to co? — pyta Matyldy — czegoście tak zachmurzeni, czy i u was zabiera się na burzę? Stasiu, czego ty latasz jak postrzelony? Kto są te panie?

— Acan dobrodziej — zaczyna Hortensya.

— Przepraszam uniżenie — przerywa staruszek z wymuszoną a grzeczną ironią — ja jestem mościa dobrodziejko radca stanu, kawaler...

— A ja jestem panna Hortensya Maciejowicz, patentowana nauczycielka do szkół wydziałowych, a nie jakaś acani; a to uczennica moja panna Marya...

— Ojcze kochany, jestem w rozpaczy! — zawoła patetycznie Stanisław, zbliżając się do starego — przepadło wszystko, już nie masz syna!

— Jak to nie mam, a gdzieżeś się podział?

— To właśnie jest panna Marya — rzecze Matylda prowadząc za rękę do ojca zasmucone dziewczę, ta sama Marynia, o którą stara się Stanisław, a która właśnie jest siostrzenicą naszego pana Klemensa.

— Świeżutka jak róża.. i widzę, że zdrowa jak rybka... pójdźże moja panno, niech cię ucałuję — mówi radca kładąc patryarchalnego całusa na jej czole. — Tylko, moje dziecko, pamiętaj, jakbyś kiedy zachorowała, nie radź się doktorów, zepsuliby cię zupełnie, oho, oni potrafią w trzy dni z tej brzoskwiniowej cery zrobić twarz jak bibułę... A, a, a! — zawoła stary pukając palcem w czoło... — jestem w domu! Rozumiem wasze kwaśne miny, rozumiem... Widzisz Stasiu, potrzeba ci to było błaznować i narażać sobie tak szanownego człowieka jak pan Klemens... cierp teraz bratku! Pamiętasz, ja ci od maleńkiego mówiłem zawsze, słuchaj starszych, szanuj.. i nieboszka matka, bądź grzeczny Stasiu dla każdego... co, nie prawda?

Drażliwą tę scenę moralizowania i zasępienia całego towarzystwa, przerywa wejście od furtki ogrodowej znanego nam doktora pana Dyonizego. Zapomniawszy o swojej powadze i dystynkcyi, szanowny Eskulap idzie żywo, a podniosłszy do góry sporą i ozdobnie oblepioną buteleczkę — woła już z progu:

— Już nie ma solitera! panie profesorze, panie Klemensie... a gdzież profesor? — pyta rozpatrując się w gronie obecnych.

— Czy to lekarstwo z Indyi? — pyta Matylda.

— Oryginalne Pontaracaco, dopiero otrzymałem z poczty cudowny środek... niezawodny... Ale mówcież państwo gdzie profesor?... Co ja widzę, Stanisław, koleżka szkolny, jak się masz, co tu robisz?

— Przyjechałem na kuracyą — odpowiada ściskając doktora.

— To mój brat, panie kosyliarzu...

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja, — wtrąca radca zaintrygowany oryginalnem opakowaniem flaszeczki — co to za lekarstwo, nie można zobaczyć?

— I owszem, niech pan radca przeczyta; jedyny nieomylny środek na solitera — mówi oddając staremu flaszeczkę. — No jakże zdrowie, Stasiu, powiedz, co ci brakuje?

Tymczasem Marynia, Matylda i Hortensya

otaczają starego przypatrując się ciekawie owemu lekarstwu, gdy ten z całem zajęciem odczytuje nazwę powtarzając Pon ta ra co-co,' czy ko ko, bo nie wiem jak się to wymawia.

— Mój Dyonizy — rzecze Stanisław odprowadzając na bok doktora — powiem ci krótko o mojej chorobie: zakochałem się na zabój w tej oto panience, siostrzenicy profesora.

— Śliczna dziewczyna, dalibóg, winszuję... żeń się, jej wuj ciepły i zacności profesor...

—Ba!—odezwie się z desperacyą Stanisław.

— Jakże ba? — oświadcz się i rzecz skończona...

— Kiedy przed godziną tu na tem miejscu, nie wiedząc, że ten mantyka jest jej wujaszkiem, obraziłem go kpiąc z jego choroby, i ani chce słyszeć o mnie...

— Drobnostka, przeproś go.. rzeczywiście zacny człowiek.

— Nie pozwala się przeprosić, jestem w rozpaczy...

— Czekaj, ja z nim pomówię — rzecze doktor.

— Zlituj się Dyonizy, zbawisz mię...

— No no, bądź dobrej myśli.. ja go przekonam. Cóż to nie znam twoich figlów jeszcze z gimnazyum?... Zresztą — mówi ożywiony doktor — nie dam mu lekarstwa, daję ci słowo nie dam jak ci nie przebaczy.

— Do śmierci będę ci wdzięczny — kończy już wesoło Stanisław rzucając mu się na szyję.

— Bądź spokojny... Panie radco proszę o tę buteleczkę... gdzież profesor?

— U siebie na górze — mówi Matylda.

— I powiadasz konsyliarzu — pyta zaaferowany radca — że to niezawodne... hę?

— Pięć kropel trzy razy dziennie przez trzy dni, i żeby soliter był taki jak wąż grzechotnik — musi zginąć.

— A, jaka to szkoda — odzywa się widocznie zmartwiony staruszek macając się po brzuchu — że ja panie nie mam solitera, zaraz bym zażył... Co to panie tylko pięć kropel...

— A ja zażyję — rzecze seryo panna Hortensya — Czy mi zaszkodzi? Najlepiej uprzedzać choroby zawczasu.. Dziś nie mam, ale kto wie czy nie dostanę kiedy solitera...

Doktor tymczasem odebrawszy flaszeczkę biegnie do domu wołając: panie profesorze! — i za chwilę wbiegają obadwaj z panem Klemensem do ogródka.

— No, jestem uratowany! — mówi profesor z niezwykłem ożywieniem, od którego nawet rumieniec pokazuje się na wybladłem licu. — Doktorze, daj!

— Nareszcie będziesz zdrów, wujaszku drogi! — woła uszczęśliwiona Marynia całując jego ręce.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — rzecze z powagą pan Dyonizy, chowając za siebie flaszeczkę z lekarstwem. — Warunek jeden, maleńki warunek...

— Pozwolisz mi pan spróbować — pyta wciskając się między nich radca — ja tylko pięć kropli...

— Pewnie idzie o koszta — rzecze nieco oschłym tonem profesor — wiem, drogo wypadnie... jednak mimo to wdzięczny będę...

— Koszta — drobnostka! — odpowiada figlarnie doktór — lekarstwo dam, za skutek głową ręczę, ale wprzód szanowny profesorze przebaczysz mojemu szkolnemu koledze Stanisławowi... No no, nie warto się gniewać, to figlarz z natury, i choć czasami miewa niesmaczne żarty, ale to najpoczciwszy chłopiec pod słońcem...

— Panie Klemensie — wtrąca radca — proszę zauważyć, że powiedziałem mu już od siebie taką reprymendę... prawdziwie ojcowską reprymendę...

— Jeżeli moje słowo coś znaczy... — odzywa się z figlarnym uśmiechem wdowa.

— Przez pamięć mojej drogiej matki — dodaje Marynia.

— Alboż ja to cesarz jaki! — rzecze uśmiechając się pan Klemens — żebyście się do mnie wszyscy modlili... No panie Stanisławie — mówi zwracając się do stojącego w śmiesznie pokornej minie młodzieńca — podajmy sobie ręce... zapomniałem...

Stanisław z radości koniecznie chciał go pocałować w rękę, lecz profesor nie pozwolił, a wziąwszy za rękę Marynię, oddał ją Stanisławowi mówiąc: Oddaję ci mój skarb jedyny, kochaj ją i szanuj... ale co do posagu — kończy z uśmiechem — to nie spodziewaj się nic więcej jak łyżeczkę prawdziwej francuskiej tabaki...

Za pozwoleniem kochane czytelniczki, proszę nie ruszać się z miejsca... kurtyna jeszcze nie zapada... proszę o chwilkę cierpliwości... jeszcze nie koniec, bo oto Marynia wzorowa siostrzenica, wcale nie akceptuje woli opiekuna.

— Ja wujcia opuścić nie mogę! — woła rzucając mu się na szyję... poczekamy, prawda, panie Stanisławie, poczekamy... wujcio jeszcze potrzebuje mojej opieki...

— A ja? — pyta zdziwiona panna Hortensya wysuwając się naprzód. — Cóż to zapomniałaś o mnie? — Kto lepiej odemnie zna wszystkie przyzwyczajenia pana profesora? Kto higieniczniej potrafi mu dom prowadzić?

— Drogie dziecię — odzywa się do Maryni rozrzewniony profesor — już znalazłem sobie godniejszą od ciebie zastępczynię. Oto jest — mówi dalej zbliżając się do Matyldy — przyszła moja opiekunka, którą daj Boże abym mógł uszczęśliwić.

— A ja co? — zawoła czerwieniąc się z gniewu Hortensya, gdy narzeczone pary oddawały się wzajemnej radości.

— Niech no pani się nie kłopocze — tłumaczy jej na stronie radca. — Da Bóg nie długo trzeba czekać, a komuś z nich przybędzie coś małego, będziesz pani miała, jak to się nazywa, to, to *haganiczne* zajęcie. Ja żebym mógł... ofiarowałbym pani dobrodziejce... ale jak panią szanuję... słowo honoru daję już..

— A to wyborna rzecz!... Jaki to świat teraz! — mówi do siebie rozczarowana Hortensya — szukaj że tu wdzięczności czyjej... bądź że tu zdrowa, żyj higienicznie, kiedy dziś tylko schorowane kobiety w modzie... Filuś! — pójdź precz! — krzyknie zniecierpliwiona rzucając pieska na ziemię... — kręci się i wierci się...

Sądzę, że czas zakończyć, zapuszczając kurtynę na dalsze losy moich artystów amatorów — a łaskawym czytelniczkom pozwalam już zabierać się do wyjścia z loży bez wywoływania autora. — Proszę, bardzo proszę, nie robić sobie subiekcyi — daję wam słowo honoru — nie wyjdę. Wysoko cenię wasze względy, samą tylko wdzięczność mam dla was za serdeczne przyjęcie prac moich — ale darujcie, nie potrafię wam za to wszystko podziękować dla bardzo prostej przyczyny: *Kłaniać się nie umiem!*

Kraków w marcu 1877 r.

O RZEŹBIE.

Odczyt

OTTONA HAUSNERA.

(*Ciąg dalszy*).

Rzeźbiarstwo jest przeto najprostszą, najbardziej skupioną, najściślej określoną i technicznie najtrudniejszą z trzech sztuk pięknych. Z tej już charakterystyki częściowo wypływa, że rzeźbiarstwo jest najodpowiedniejszą sztuką i najsilniej rozwinąć się musi u narodów mieszkających pod łagodnem niebem, z pewną prostotą obyczajów, z pewną harmonią warunków społecznych, u narodów swobodnych, z silnie wyrobionem życiem publicznem i z pogodnym poglądem na świat. Dla tego też rzeźbiarstwo dopięło najwyższy szczyt doskonałości w najpiękniejszych czasach niepodległej Grecyi i odtąd nigdy do równej wzniosłości nie doszło, gdy nigdzie podobnie szczęśliwych warunków nie znalazło, jak w tych czasach, gdy podwójne zjednoczenie ludzkości z bóstwem, przez nadanie bogom kształtów i obyczajów ludzkich i przez podnoszenie ludzi do rzędu Bogów, uczyniło rzeźbę uzmysłowieniem ideałów. O wieku dziecinnym, o dziejach przedgreckich rzeźbiarstwa skąpo wymierzony czas mówić mi wzbrania. Zanotuję tu tylko dwa fakta, owoce badań i odkryć nowszych. Pierwszym faktem jest, że otrętwiała jednostajność sztywnych, ociężałych, bez życia i prawdy rzeźb kolosalnych egipskich, nie tkwiła w niezręczności i niezdolności artystów, lecz była obowiązującym przepisem religijnym, który nakazywał tak i nie inaczej przedstawianie bogów i postaci symbolicznych. Odkryte przez p. Mariette posągi królów w Meydoun (w świątyni wielkiego sfinksa,) pochodzące z najdawniejszych czasów wykazują taką biegłość w modelowaniu, taką delikatność dłuta, że znaczny i wczesny rozwój sztuki rzeźbiarskiej w Egipcie tem jest dowiedziony. Lecz tego stylu poprawnego nie wolno było używać w świętych postaciach kolosalnych, tak jak i dziś w Rossyi w Ikonostazach obowiązkowo umieszczają brunatne, wyzłacane Matki Boskie bizantyńskie.

Drugim faktem jest dziwnie odrębny charakter rzeźb tajemniczego narodu Etrusków, odkrytych w najnowszych wykopaliskach w Toscanella, Nepi i Perugii. Te zabytki jasno dowodzą że ten naród posiadał zupełnie odmienne od Greków pojęcia religijne i estetyczne, które u całkiem innych źródeł czerpać musiał. Co więcej, te utwory zbliżają się duchem niezmiernie do charakteru tak zwanego gotyckiego. W Perugii stałem godzinami w zdumieniu przed świeżo wykopanym grobowcem, na którym umierający z niewymownym wyrazem grozy wpada w szpony śmierci, w postaci strasznej żeńskiej, o orlim nosie i przeszywającem spojrzeniu.*) Otchłań dzieli takie przedstawienie zgonu od pogodnego greckiego geniuszu śmierci z obróconą pochodnią, od wybawiciela z cierpień doczesnych.

O rzeźbiarstwie greckiem, o tych złotych wiekach plastyki, w których tysiące boskich postaci wzywają do zachwycenia, zachęcają do opisu, ciasne ramy jednego odczytu każą mi wspominać z całym lakonizmem, na jaki podobny przedmiot zezwala. Dzieje rzeźbiarstwa starożytnego

*) Przypominającą tryumf śmierci Orcagni w Campo Santo Pizańskiem.

*

klasycznego dają się podzielić na 5 okresów. W *pierwszym okresie* (do r. 500 przed Chrystusem) styl tak zwany hieratyczny*) okazuje nam się wprzód w termach (głowach na słupach), później w posągach typowych, symetrycznych, bez życia, przypominających kolosy egipskie. Najwybitniejszymi okazami zachowanymi tego stylu są: Pallas w Villa Albani (Rzym) i Metopy w Selinoncie (Sycylia).

Drugi okres (500 — 400 przed Chrystusem) nosi na sobie cechę uroczej wzniosłości, świętego spokoju, surowej powagi i techniki nieco szorstkiej. Zawiera on *pierwszą szkołę Ateńską*, na której czele stoi *Fidiasz*, mistrz potęgi zwycięskiej ze swym kolosem Jowisza Olimpijskiego i swą Minerwą w Partenonie. Tej szkoły są sławne wypukłorzeźby z Partenonu, przez lorda Elgina zabrane i w British Museum ustawione. Do tej szkoły należą: *Myron* ze swym Diskobolem, wzorem miary w ruchu i *Ctesilas* z posągiem Periklesa i Amazoną. Dalej ten okres obejmuje *szkołę Sycyońską* z Polikletem, twórcą sławnego Herkulesa z Hydrą.

Trzeci okres (400 — 300 przed Chrystusem) odznacza się najwyższą idealną pięknością, harmonijną swobodą ruchu i pod koniec już namiętnie rozkołysanem uczuciem, w całym przebiegu zaś najwytworniejszą techniką. Obejmuje on *drugą szkołę Ateńską*, której głównym przedstawicielem jest mistrz nad mistrzami *Praxiteles* ze swą Wenerą z Gnidos, Satyrem w Watykanie i Kupidynem z Paros (dziś w Neapolu). Obok niego słyną *Skopas* ze swą Wenerą z Milo (w Luwrze), z Niobidami (najlepszy egzemplarz w uffiziach we Florencyi) i ze śpiącym Faunem (w Monachium), tudzież *Lysippos* z posągiem Aleksandra Wielkiego i Herkulesem farnezyjskim w Neapolu.**)

Czwarty okres (300 do 150 przed Chrystusem) odszczególnia się najgłębszą prawdą wyrazu w afektach i największą dramatycznością ruchów, oraz wykonaniem w czystości i miękkości nie ustępującem dziełom poprzedniego okresu.

Obejmuje on *szkołę Rodyjską*, z której wyszła owa grupa Laokona,**) którą najgłębsze umysły jak Lessing i Winkelmann, należycie ocenić i wytłomaczyć usiłowali i która pozostanie wiecznym przedmiotem podziwienia, póki poczucie piękna w umysłach ludzkich nie wygaśnie. Uwidocznienie walki siły moralnej przeciw boleści fizycznej i trwodze ludzkiej w obliczu ojca, przeciwstawienie wieku, wzrostu i sił synów, nieporównana doskonałość budowy tej grupy z ową straszną diagonalą utworzoną przez ciało umęczonego starca, nareszcie nadanie najwyższej plastycznej piękności przedmiotowi tak przerażającemu, czynią to dzieło skarbcem mądrości artystycznej.

Tak zwany „byk farnezyjski"***) w Neapolu jest najbogatszą i najbardziej poruszoną grupą starożytną. Energia wyrazu, zręczność wykonania ogromna, ale już tylko do zmysłów, nie do uczucia przemawia i zbliża się do przesady w komplikacyi zarysów.

Trzecia szkoła Ateńska, również zawarta w tym okresie, zostawiła nam w arcydziele *Kleomenesa*, w Wenerze Medycejskiej, nie już boginię zwycięzką, jak Wenus z Milo, nie kobietę w pełni wdzięków, jak Wenus z Gnidos lub Kapitolińska, ale piękność dziewiczą, skromną pomimo nagości, z główką niewymownie szlachetną, w postaci nieśmiałej istoty dopiero co z piany morza do życia powołanej.

Szkoła Efezka zaś okazuje nam się w barbarzyńcu umierającym, niewłaściwie Gladyatorem zwanym w Kapitolu. Tutaj zadanie przedstawienia pięknego zgonu, walki człowieka w chwili gdy go śmierć pochłania, w najszlachetniejszych liniach rozwiązane zostało, z dodatkiem tej trudności że artysta nie ubóstwionego bohatera, nie obrońcę greckiej ojczyzny, ale barbarzyńcę sobie za przedmiot obrał, co się w formie głowy i piersi, we włosach i naszyjniku wyraźnie pokazuje.

Jako *piąty okres* greckiego rzeźbiarstwa uważać możemy czasy panowania Rzymian nad Grecyą aż po Konstantego Wielkiego. Do tego okresu zaliczyć wypada utwory rzeźbiarzy rzymskich, bo Rzymianie, którzy świat podbili, światu temu nie udzielili zupełnie nowego stylu, nowych myśli i form w sztuce, lecz przywłaszczyli sobie to, co podbici Grecy wynaleźli. Architekturze nadali oni kierunek praktyczny, do ich życia publicznego zastosowany, a więc nadali jej rozmiary kolosalne, Grekom nieznane i niepotrzebne, rzeźbę zaś pielęgnowali, bez przekształcenia, w tym duchu, jaki nam się w czwartym okresie greckim okazał. Do jakiego stopnia zaś umieli zachować najlepsze tradycye sztuki, na to najświetniejszym dowodem jest Apollo Belwederski (w Watykanie), którego cudowna piękność, bosko lekkie stąpanie, zwrot głowy pełen szlachetnej dumy, godne są Praxitelesa, a jednak dziś wiemy z pewnością, że to dzieło z czasów pierwszych Cezarów. Również Victoria w naszych czasach w Brescii wykopana; posiada całą urodę, lekkość i idealność najlepszych mistrzów. Ta epoka wykwintnego naśladowania bez odrębnej twórczości, została na zawsze przerwaną za panowania chrześcijaństwa, napadami barbarzyńców i upadkiem cesarstwa zachodniego. Rzeźby uległy, jak się wtedy zdawało, zupełnej zagładzie. Nie jest od rzeczy, przy tej sposobności oczyścić po części Wandalów od tego wyjątkowego napiętnowania jako niszczycieli sztuki, które się maluje w słowie „wandalizm" używanem w znaczeniu nieświadomości, pogardy lub niszczenia dzieł sztuki. Niezawodnie Wandale palili, plądrowali i burzyli, lecz nie oni sami i nie oni przeważnie. Jeden cesarz i jeden papież, którym nadano, zkądinąd słusznie, przydomek „Wielkiego", Teodozyusz i Grzegorz, więcej świątyń zrównali z ziemią, więcej posągów skruszyli niżeli Alarich i Genserich razem.

Równocześnie wszelka chęć i sposobność, później i wszelka zdolność do tworzenia jakiegokolwiek dzieła sztuki ustały i wszelkie pojęcia o pięknem się przekształciły. (C. d. n.)

*) lub styl świątyń.

**) Konie brązowe na szczycie bazyliki Św. Marka w Wenecyi mylnie jemu przypisywano.

***) Przez Agesandra, Atenodora i Polydora.

*) Właściwie Zetus i Amfion przywiązując Circe do rogów byka przez Apoloniusa i Tauriskusa z Tralles.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

W jednej z nowych partyi przybył także niejaki Celiński, oficer niegdyś polski z 1849 r. później porucznik saperów moskiewskich na Kaukazie, następnie za udział w powstaniu 1863 r. skazany do robót katorżnych na lat dwanaście. Aczkolwiek nie zbyt wiekiem przyciśnięty, liczył bowiem zaledwie lat pięćdziesiąt kilka, na obliczu jego wyciśnięte były znamiona jakiegoś przeżycia, głowa siwa, jakby pod jakim ciężarem w dół zwieszona, ponura twarz z wyrazem cierpienia, chód powolny, miarowy, jak zwykle u wojskowych, mało mówił i mógł zwracać na siebie uwagę kolegów, jedném tylko odosobnieniem. Zdawało się, że był to człowiek, co utracił władze przyjmowania wrażeń, którego nic nie obchodziło, i który dał już raz za wygranę wszelkiej działalności człowieka. Ale tak w istocie nie było, a ta obojętność była tylko powierzchowną. W swem odosobnieniu badał stosunki koleżeńskie, zestawiał je po swojemu dla swych planów, aż po pewnym czasie wystąpił otwarcie z zamiarami, które postanowił wykonać za Bajkałem. Małomownością swoją a przytem pewnością każdego kroku i poparciem rozsądnem swych twierdzeń, od razu zdobył sobie uznanie, którego Malicki pozyskać nie mógł, w znacznej części współkolegów.

Plan Celińskiego był zwięzły, wyłączający wszelkie kombinacye z Moskalami, pracować dla Moskwy nie chciał, jak się sam wyrażał: „Ja chcę siebie i tysiące współbraci powrócić do życia" — i wskazywał na Bucharyą, gdzie to życie spodziewał się znaleść. Utworzyć tysiączny oddział, przedrzeć się z nim przez góry w stepy Kirgizkie i połączyć się z walczącymi Bucharami, oto był plan przez Celińskiego zakreślony.

A chociaż wielu, widząc kierownictwo dojrzałego człowieka i wytrawnego oficera, miało otuchę, że Celiński jest zdolnym do przeprowadzenia zamiarów i takowe z całą siłą, popartą umiejętnością, przeprowadzi, to pomimo tego pozostała jeszcze znaczna część więźniów, którzy projektów Sołowiejowicza nie mieli za stracone i w nadziei, że jeszcze odświeżonymi zostaną, nie podzielając na razie *gołosłownych* planów Celińskiego, postanowili trzymać się od niego na uboczu, i chyba wtenczas przyłączyć, gdy plany przeszłości nie będą urzeczywistnione. W każdym razie było dosć czasu do przystąpienia do zamiarów Celińskiego, gdyż one dopiero za Bajkałem urzeczywistnić się miały.

Gdy Celiński około werbunku do swego planu zajęty krzątał się wśród więzień Irkuckich, przyprowadzają tam niespodzianie Moskale Karola Nowakowskiego. Trafili oni na Karola w swych podejrzeniach, a ponieważ nie wykryto ani jego przemiany z bratem ani też o nic obwinić go nie mogli, więc pod pozorem, że dla księży jest osobne zupełnie miejsce przeznaczone na osiedlenie, wysłali go za Bajkał do Tunki. Karolowi dozwolono zabawić czas jakiś w Irkucku. Wkrótce po nim przybyło jeszcze dwóch innych, i tym sposobem *całość* mniej więcej skompletowana znalazła się w tem mieście. Ci nowo przybyli mogli jedynie rozjaśnić mgłę otaczającą historyą Krasnojarską, która była w związku z Sołowiejowiczem i Szlenkierem. Okazało się, że policya moskiewska nie posiada żadnego wątku i nie podejrzywa Polaków o żadne niepokojące rozruchy.

Tego potrzeba było, a skupianie coraz większe więźniów, w celu massowego ich przeprowadzenia za Bajkał, każdemu z zamiarów czy to Celińskiego, czy Nowakowskiego, czy też innych, sprzyjało i mimowolnie nawet do celu wiodło.

Już nadciągnęli do Irkucka więźniowie i z innych oddalonych katorg, jak z Ussola i Ale-

ksandrowska. Trzy odrębne a przeznaczone w Irkucku dla więźniów gmachy*), z trudnością mogły pomieścić przybyłych, ostre trzymanie więźniów zmniejszyło się, a ponieważ za Bajkałem nie można było znaleść prowiantów na czas dłuższy, zatem i policya Irkucka, pod której zarządem więźniowie byli, dozwalała im z niewielkim konwojem wychodzić do miasta w celu tak zwanych „pokupek“. Ulice i pałace przepełnione były katorżnikami znoszącymi sobie to cukier, to herbatę, to tytoń lub inne drobiazgi, które w każdym szczęśliwym lub nieszczęśliwym razie pożądanymi być mogły.

Trudne komunikacye trzech więzień poniekąd znikły, a więźniowie mogli teraz pomiędzy sobą swobodnie porozumiewać się, nie ściągając podejrzywań Moskali na siebie.

Opisywać szczegóły narad, jest zbytecznem. Nie wielkie kółko złożone z sześciu, to jest Władysława P. Nowakowskiego, O. Bolesława P. i 2 innych, ułożyło i postanowiło działać w myśl *pierwotną*, a dla koniecznych ułatwień miał O. na krótki czas, pod pozorem choroby zostać w Irkucku i dopiero wówczas za Bajkał wyjść z ostatnią partyą, gdy się tego okaże potrzeba. Słowem, było tak blisko do *wolności*, że się zapomniało o tem, że jest się więźniem, w moskiewskich rękach i że sobą dysponować, zakrawa trochę na śmieszność! Była jednakże chwila taka niedługa, a w niej zdawało się, że role Polaków i Moskali muszą być i będą przemienione!

W końcu maja 1866 r., gdy już powierzchnia Bajkału od spiętrzonych lodów oswobodzać się poczęła, a statki bez narażenia się na uszkodzenia jezioro przepruwać mogły, rząd moskiewski przystąpił do wykonania swoich zamiarów i ogłosił więźniom dnie wymarszu za Bajkał. Zostawiono ich woli grupowanie się w partye, z tem jednakże ograniczeniem, ażeby szlachta to jest *dwaranie* tylko między sobą, a nieszlachta czyli tak zwani *nieprywiligirowannyje* znowu pomiędzy sobą dozwolone grupy tworzyli**) Taki rozdział *ukazem* usankcyonowany, nie byłby w ówczesnej chwili na rękę więźniom, gdyby istotnie ci co prawa posiadali szlacheckie, byli jednocześnie inteligencyą, a znowu nieuprzywilejowani ludźmi

*) Jeden właściwy budynek kryminału, drugi nazwany Grażdańska Pałata, a trzeci szpital dla waryatów.

**) Moskale obdarzali prerogatywami ród szlachecki przynajmniej do ostatnich wypadków. Byłto jeden z główniejszych paragrafów w systemie rządu moskiewskiego i nie niknął nawet wówczas, gdy mocą sądów czy to polityczno-wojennych, czy administracyjno-cywilnych, więzień utracać powinien prawa rodowe. I tak więźniowie szlachta, pomimo że pozbawieni byli wszelkich praw, doznawali jednakże pewnej ulgi, mianowicie: w czasie samej drogi, dostawali 15 kopiejek dziennie, jednę podwodę na 2ch i wolni byli od zakucia w kajdany, gdy ci drudzy, odbywali drogę pieszo, dostając po 10 kop. a jak w początku po 5 a nawet po 3 kopiejki, i nadto będąc zakutymi na rękach lub nogach, a to według fantazyi prokuratorów, komendantów i innych dostojników. Szlachectwa prerogatywy trwać miały tylko do przybycia na miejsca naznaczone w Syberyi, nie zacierały się jednakże nawet i po przyjściu tamże. Odrębne były katorgi przeważnie dla szlachty jak np. Usole pod Irkuckiem, choć i tam w początku nie szczędzono cielesnych kar, osobne zaś dla nieszlachty jak Troick pod Krasnojarskiem, Aleksandrowsk pod Irkuckiem i katorgi nad Leną, w których zwierzchnicy Moskale całą swą wściekłość bez żadnych ograniczeń na więźniów wylewać mogli. W wysyłkach na Syberyą i w Syberyi samej, można jeszcze tem tłumaczyć to przestrzeganie moskiewskie kast, że oni wierząc we wpływy szlachty na nieszlachtę, a księży na jednych i drugich, tworzyli z Polaków te trzy kategorye, usiłując tem przeciąć wszelkie związki i udzielania się pomiędzy sobą.

bez wykształcenia. Przeciwnie można było w tym rozgatunkowaniu najdokładniejsze znaleść pomięszanie wykształcenia z prawami rodowemi, bowiem wśród drugich, to jest nieszlachty było bardzo wielu młodzieży z uniwersytetów, którzy jeszcze w kraju przed sądami wyparli się szlachectwa, jak również obcokrajowców, którym rząd moskiewski nie przyznał posiadanych prerogatyw. W ten sposób posortowani więźniowie mieli układać partye od 60 do 100 ludzi, i te partye w tym samym składzie za Bajkałem nienaruszalnie pozostać miały.

Zaraz po należytem wyadjustowaniu katorżniczem, pierwsza partya, składająca się z 60 więźniów nieszlachty, z 40 kozakami opuściła Irkuck 29 maja 1866 r. Na drugi dzień stanęli w Listwiennicznej, tam wsiedli na przygotowane statki i odpłynęli w stronę Kultuku na południe jeziora, jako na miejsce swego przeznaczenia.

Tym samym porządkiem co i pierwsza w następny dzień, to jest 30 maja, wyprawioną została druga partya *szlachty* do Murymu, o kilkanaście wiorst odległego od Kultuku. W tej partyi znajdował się Celiński.

Na trzeci dzień (31 maja), gdy następna partya, gotową będąc do drogi, oczekiwała tylko wyprowadzenia za bramę więzień, powstaje jakieś zamieszanie jakiś niepokój pomiędzy urzędnikami policyi, którzy zwykle przy wymarszu partyi obecnymi byli, i konwojem i po niedługiej chwili wpada kozak w całym biegu konia z rozkazem od gubernatora Erna, aby udającą się w drogę partyę, nie wypuszczać z więzień.

Niezwykły taki rozkaz wydarzający się w razach, gdy jakaś niespodzianka bolesna ma więźniów spotkać, przeraził nieco, a że jak przysłowie powiada *„na złodzieju czapka gore“*, prawie wszyscy byli pewnymi, że ów rozkaz jest w związku z ułożonymi planami więźniów i że Moskale będąc w posiadaniu dowodów, zechcą niezawodnie postąpić doraźnie z winnymi.

Nie upłynęło pół godziny, gdy bramy więzienia roztworzyły się i w dziedziniec wmaszerował batalion pieszych kozaków w zupełnej paradzie. Wojsko zajęło obszerny plac półkołem, a w kilka minut zatoczyły się pojazdy gubernatora, urzędników i całej świty odpowiedniej jakiemuś solennemu aktowi. Dygnitarze wprowadzeni zostali w wieniec utworzony z żołnierzy.

Policya rozsypała się natychmiast po więzieniach, a z powagą zwykłą policyantom, znaglała więźniów do natychmiastowego ich opuszczenia.

Może to była jedyna chwila, w której wobec tych przypuszczeń jakie po głowach przelatywały, więźniowie z oporem opuszczali kazamaty, nie było jednakże rady, wyjść kazano, więc też massy więźniów wylegly na udekorowany dziedziniec, grupując się jednakże w przyzwoitej odległości od imponującego orszaku carskiego.

Wówczas wysunął się gubernator naprzód i zawezwał w bardzo przyzwoity sposób więźniów aby się zbliżyli*), jednocześnie komenda wojskowa rozległa się „prezentuj broń“ (na karauł) i cisza zaległa do koła! Cała świta a z nią i gubernator odkryli głowy; z jego rąk wyzierał tajemniczy papier, snać ukaz carski; niepewność więźniów doszła do największych rozmiarów, rozwi-

*) Gubernator, o którym wzmianka, nazywa się Ern, podówczas był cywilnym gubernatorem, w Irkucku i jego postępowanie z więźniami zawsze nacechowane było pewną elegancyą i łagodnością.

nięto nareszcie cyrograf i gubernator donośnie wygłaszać począł:

„Jewo Imperatorskawo Wieliczestwa Aleksandra wtorowo, Manifest“ ect. ect. ect.

Był to manifest zdradzieckiej treści, wydany w Petersburgu po zamachu Karakozowa na życie Cara. Wszystkim skazanym na całe życie i od 15 do 20 lat w katorgę zmniejszono karę na lat 10, następnie skazanym od lat 10 do 15 w katorgi zmieniono na połowę lat, zaś tym ktorzy byli skazani do 10 lat na roboty ciężkie, darowano karę i na posielenie zmieniono. Kategorye sybiraków zesłanych na osiedlenie lub zamieszkanie, manifest pominął tak, że nikogo do kraju nie zwracano, co przecież byłoby najważniejszem, gdyż pozostawać w Syberyi w więzieniach, czy na wolności, wśród pustyń i dziczy, nie zmieniało to w niczem postaci i losu Sybiraków, aczkolwiek zupełnie inne były wyobrażenia!

Po przeczytaniu powyższego manifestu cisza żadnym ruchem nie została przerwaną. Takie zachowanie się Polaków zmięszało Moskali, spodziewali się jeżeli nie oznak radości to przynajmniej, choć zwykłego okrzyku „hurra“, który w podobnych ukazach carskich, prawem poniekąd jest nakazany. To też barabańszczyki i trębacze z podniesionemi rękami oczekiwali zawtórzenia hałasem na piszczałkach i bębnach, okrzykowi więźniów, a ci stali tak nieruchomo, jakby z ich tysiąca piersi żadne tchnienie nie ulatywało! Zakłopotany gubernator takim znalezieniem się więźniów, przerwał nareszcie ten spokój niemiły zapytaniem: *„poniali?“* to jest, czy zrozumieli? a odebrawszy kilkugłosową odpowiedź *„zrozumieliśmy“*, opuścił z całem swem otoczeniem Polaków zawsze jednakich, niemych, buntowniczych. Manifest został w jednym dniu w całej Syberyi ogłoszony i natychmiast władze przystąpiły do uklasyfikowania więźniów według zmian nowo zapadłych.

Nie można było lepszej chwili wybrać Moskalom do ogłoszenia manifestu, i najwięcej ten manifest przyniósł korzyści carowi i jego siepaczom, bo chociaż osiągnięte ulgi, całości nie dotykały, musiały jednakże wywołać pewną nadzieję w pozostałych. Może za rok, dwa, choćby za lat kilka wszyscy zostaną uwolnieni i powrócą do kraju. Może carat nakąpawszy się w strumieniach łez i krwi polskiej do przesytu, albo zagasił już żądzę swoją, albo zmuszony jakiemiś okolicznościami, doszedł do przekonania, że eksterminacyjna walka z Polską nie dowiedzie do celu. Te i tym podobne kombinacye wynikające z takiego biegu rzeczy, musiały owładnąć umysły gorące, a przytem zmęczone daremnemi wzburzeniami. Dokonany fakt ułatwiał przystęp nadziei tem większej, im położenie groźniejszem było, i ta nadzieja wzmagać się poczęła w miarę dłuższej rozwagi, a stosunkowo i zmniejszenia gorączki do niedawna opanowującej wszystkich! Gdy do tego, te siły, na które się liczyło, przez zmniejszenie liczby katorżników blisko w dwóch trzecich odpadły, działania dalsze w kierunku raz przyjętym same w sobie musiały się rozbijać nie dając odtąd żadnej rękojmi przypuszczanym powodzeniom.

Dalsze wysyłki więźniów za Bajkał wstrzymane zostały. Ułożenie nowych kategorycznych spisów wymagało jakiegoś czasu, i nim je Moskale do ładu doprowadzić mogli, minęło dni kilka, poczem znowu dawniejszy porządek nastąpił, lecz tym razem wysyłani więźniowie już w dwóch kierunkach mieli odbywać drogę: jedni na posie-

leńców przemienieni z za Bajkału, czyli od stron Nerczyńskich ku Irkuckowi, w strony zachodniej Syberyi, drudzy, mianowicie ci, którzy jeszcze nie zostali uwolnionymi z ciężkich robót, jak dawniej za Bajkał, na drogę krugomorską byli prowadzeni. Z przerzedzoną garstką katorżników ułatwili się Moskale prędko, tak że do 10 czerwca prawie wszyscy katorżnicy już byli na miejscach swoich przeznaczeń za Bajkałem. Z posieleńcami mniej było kłopotów, ich powracano dowolnie nieraz i bez konwojów, a zgromadzając tak wszystkich do Irkucka, rozsełano ich ztamtąd po włościach i innych drobnych mieścinach.

Tych więc szczęśliwszych, zyskujących na raz wolność a tracących kajdany katorżnicze, zostawmy losowi. Nie pójdziemy w opowiadaniu za ich walką o byt osobisty. Ich los był zupełnie podobny do losu rozbitków, wyrzuconych z falami na brzegi lądów, bez życia, bez ludzi! Zwrócimy się za to całkowicie do katorżników zabajkalskich, którym Moskale sami nadali nazwę *„nieszczastnyje“*, malując jasno ich stan i położenie. (C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

Trzy głosy.

Mając przy sobie przedmiot swego posłannictwa, Hamlin prędko odzyskał zwykłe swe usposobienie i stał się tak swobodnie wesołym, że Olly, przypisująca to radości spotkania się jego z Zofią, czuła się zniewoloną do zrobienia kilku uwag nie zbyt pochlebnych dla tej młodej damy, by pomścić się za wmięszanie, jakiego sobie pozwoliła w jej sprawy. Ku wielkiemu jednak jej zdziwieniu, wesołość pana Hamlina wcale się nie zmniejszyła, ani też nie próbował on bronić Zofii.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Potem Hamlin zanucił śpiewkę... śpiewkę ludową... której Olly tak doskonale akompaniowała, że p. Hamlin bezwłocznie zaproponował duet.

I tym sposobem przeciągali przez dziką i nieurodzajną płaszczyznę Sacramento przyśpiewując. Furmani i piersi wędrowcy, których spotykali, przejmowali się zdziwieniem i miękli w swoich uczuciach.

A gdy nad wieczorem, zatrzymali się przy jednej oberży nad drogą i Jack Hamlin rozwinął swą zręczność, której rezultatem była wieczerza lepsza, aniżeli można było spodziewać się, natenczas Olly pomyślała, że nigdy w życiu nie spotkała tak przyjemnego człowieka, jak ten Hamlin.

Gdy znowu znaleźli się na drodze, poczęła okazywać pewne zaciekawienie względem brata i wypytywać się o jego domowem życiu. Z tego się okazało, że znajomość Jacka z Gabryelem jest stosunkowo świeżej daty.

Po krótkim zmierzchu i z nadejściem nocy powietrze oziębiło się; ukazało się kilka gwiazd; na drodze ruch ustał; zimna mgła wznosiła się z przyległego trzęsawiska; Olly drżała pod grubym podróżnym szalem Hamlina, którym była osłonięta. Zauważywszy to p. Hamlin wydobył flaszkę i namówił Olly do przełknięcia kilku kropli, co wywołało u niej kaszel i mądre dziecko wyprowadziło z tego wniosek, że była to whiskey. Wszakże Hamlin dał jej pod tym względem takie wyjaśnienie:

— Jeszcze w bardzo młodym wieku — oświadczył z niezmierną powagą i godnością, dałem pewnemu staremu i słabemu krewnemu przyrzeczenie nigdy nie oddawać się napojom spirytusowym, wyjąwszy przepisu lekarskiego. Flaszkę tę wożę z sobą powolny zaleceniu lekarza.

Ponieważ ściemniało i nie można było widzieć oczu Hamlina — na które dziecię zgodnie z usposobieniem swej płci, zwracało więcej uwagi, aniżeli na wyrazy — więc Olly nic nie odpowiedziała, a Hamlin umilkł.

Następnie, puściwszy konia swego galopem, począł przedstawiać Olly z największą powagą charakter i znaczenie organów kościelnych.

— Dawniej grywałem na takich organach, Olly, w kościele. Ludzie mówili, iż czasami umiałem podnosić do pobożnych myśli.. ale to już dawno temu, Olly!... Zwłaszcza był jeden hymn, który najchętniej grywałem... jedna z mszy Mozarta... idzie to mniej więcej tak:

I Jack podniósł swój głos na chwałę Bogarodzicy bolesnej, zupełnie obojętny na otoczenie i cały oddany wykonaniu. Osie skrzypiały, koła stukały, koń przestraszał się, podskakiwał, lekki powóz kołysał się, Olly kapelusz chwiał się na ramionach, a Hamlin śpiewał ciągle. Gdy skończył spojrzał na Olly: usnęła!

Jack był artystą i entuzyastą, ale niebył nie rozsądnym i uwzględnił okoliczności. „To whiskey,“ mruknął sam do siebie.

Z wielką ostrożnością przełożył cugle w lewą rękę, a prawą objął małą chwiejącą się postać i poprawił jej kapelusik i złociste kędziory.

W takiem położeniu, wcale nie ruszając się, by nie zbudzić śpiącego dziecka, około północy przyjechał do Fidletown. Tu wziął świeżego konia, zaprzągł go, zrzekając się pomocy stajennego tak cicho, że Olly osłonięta kołdrą i w poduszkach wypożyczonych u miejscowego pocztmistrza, nie przebudziła się nawet wtedy, gdy znowu pojechali dalej pod górę.

Na godzinę przed brzaskiem dnia stanęli na wyżynie. Ciemności kończącej się nocy, powiększały jeszcze cienie potężnych jodeł, wpośród których wiła się spadzista droga.

Było bardzo cicho. Bystry słuch Hamlina pochwycił dźwięk ludzkich głosów i brzęk meksykańskich ostróg, przypomniał sobie, że o kilkaset sążni dalej główną drogę przecinała inna, która wymijając Wingdam wiodła prosto do One horse gulch.

Hamlin zatrzymał swego konia w miejscu, gdzie drogi krzyżowały się i ukryty w ciemności oraz za pniem olbrzymiej jodły stanął, czekając póki nieznajomi nie przejadą. W kilka chwil głosy ozwały się tuż koło niego, a ciągle dochodziły z jednego miejsca: podróżni widocznie zatrzymali się.

— Tędy, zdaje się, droga — ozwał się jeden głos.

— Doskonale! odpowiedział głos drugi, — droga prosta. Niezawodnie oszczędzamy godzinę czasu.

Trzeci głos ozwał się rozkazująco i z naciskiem:

— Zostaniemy na drodze pocztowej. Jeżeli Joe Hall zwietrzy o co rzecz chodzi, to człowieka swego zawróci do Sacramento. A jeżeli to zrobi to tędy pojedzie...

— Ależ ta droga jest o godzinę dłuższa, mruknął inny głos.

— Chłopcy zaczekają, odpowiedział głos poprzedni. Potem nastąpił śmiech, brzęk ostróg i niewidzialna kawalkada posunęła się naprzód wśród ciemności.

Hamlin ani drgnął dopóki głosy dochodziły do niego. Potem szybko spojrzał na dziecko; spało spokojnie, nie przebudzone owemi złowrogiemi głosami, od których nagle rumieniec wystąpił na twarz Hamlina i oczy jego przybrały wyraz smutku. Jeszcze chwilę wahał się i namyślał. Gdyby teraz jechał dalej do Wingdam, to musiałby jechać ostrożnie za tymi, którzy zamierzali wykonać *lynch*, nie mógłby więc zawczasu narobić alarmu. Gdy pojedzie prostą drogą do One horse gulch, to straci możność spotkania szeryfa i jego więźnia.

Gdyby nie przeszkadzała mu mała koło niego spiąca istota, to odważyłby się pędzić prosto między grupę jezdców. Ale o tem nie było co myśleć. Musiał jechać za nimi do Wingdam, dziecko tam zostawić i licząc na swe szczęście przybyć do One horse gulch przed nimi. Było to możebnem, gdyby jezdzcy zatrzymali się na chwilę w Wingdam.

Uczuł pewną ulgę, gdy z pierwszym brzaskiem dnia koń jego począł kroczyć po kamieniach, któremi wyżwirowane były ulice przedmieścia w Wingdam. Jeszcze lżej mu się zrobiło gdy ujrzał, że „trzy nocne głosy“ w których poznał trzech uzbrojonych jezdców, zatrzymały się przed werandą hotelu i jezdzcy z siadłszy z koni weszli do szynku. A już zupełnie był zadowolony gdy po chwili śpiącą ciągle Olly prędko i ostrożnie wniósł do pokoju. Zbudzić śpiącego Pete, potargać na pół ubranego, zgłupiałego i oniemiałego ze zdumienia na widok bezprzytomnego dziecka, — wszystko to było dziełem następnej chwili.

— Ależ, massa Jack! Boże wielki w niebiosach! wszak to dziecko! zawołał, Pete drżąc w bogobojnej trwodze.

— Stul twój szeroki pysk! zawołał Jack cicho. Obudzisz ją! A teraz posłuchaj co ci powiem, ty tępy idioto! Nie budź mi jej, jeżeli ci o to chodzi byś stare swe kruche kości mógł sprzedać w całości doktorom! Niech spi póki może! Gdy się obudzi i spyta o mnie, to powiedz jej, rozumiesz? żem pojechał do jej brata. Daj jej wszystko czego żąda — tylko nie mów prawdy!... A co tam robisz, ty, stary ośle?

Pete właśnie był zajęty ostrożnem zdejmowaniem góry kołder i poduszek, które Jack zwalił na Olly.

— Na miłość boską massa Jack... pan udusisz biedne dziecko! — odpowiedział.

Jack spojrzał z zadowoleniem i uspokojony na czynność swego służącego i rzekł krótko:

— Sprowadź mi konia!

— Massa Jack... to żadną miarą być nie może. Stajnie są puste... przez cały dzień były jakby wyścigi do One horse gulch.

— Trzy konie stoją w bramie! rzekł Jack znacząco.

— Na miłość boską, massa Jack!... tego pan nie zrobisz! zawołał Pete, przerażony i drżąc jak liść osiny. Tacy ludzie nie znają się na żartach, massa... oni zrobią panu coś okropnego, massa...

Ale Jack, rzucił wzrokiem na dziecko i rzekł na to z zimną krwią:

— Nie mogę się zdecydować — którego z tych trzech wziąć. Ty wynajdziesz właściciela gdy to uczynię i odjadę. Powiedz mu, że pan Jack Hamlin zasyła mu swój ukłon i zostawia dla niego klacz i jednokonkę. Możesz mu powiedzieć, że klacz, jeżeli będzie pilnować by się nie poderwała i dobrze jej głowę utrzyma, może zrobić półtrzeciej mili w godzinę. Cicho! Ani słowa więcej!... Bądź zdrów!... żegnam cię, lube dziecko!

Nachylił się, podniósł lekko szal ukrywający twarz Olly, ucałował śpiącą i zagroziwszy wiernemu słudze pięścią, wybiegł.

Przez kilka chwil murzyn słuchał, dech w sobie zatrzymując. Potem rozległ się tentent kopyt na bruku ulicznym i Pete przerażony ukląkł przy łóżku.

— Pojechał!... stało się! Boże wielki w niebiesiech! miej nas w swojej opiece!

A podczas gdy Pete rozpacz swoję wylewał w wyrazach bez związku, Hamlin pędził na bystrym rumaku, który niedawno unosił „głos rozkazujący,“ ku One horse gulch. (C. d. n.)

Listy z Anglii

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Londyn 11 kwietnia 1877.

(Dokończenie).

Wglądając głębiej w stosunki angielskie wyznać muszę, że nietylko bezrobocia i brak odbytu na swoje towary przyniosły uszczerbek temu krajowi. Drugą wielką przyczyną zubożenia Anglii były pożyczki zagraniczne. Setki i tysiące milionów wyszły ztąd do rzeczypospolitych w południowej Ameryce, do Hiszpanii, Turcyi, Egiptu, lub w ręce gründerów kolejowych w Stanach Zjednoczonych. Tysiące zamożnych dawniej rodzin angielskich dało się złudzić obietnicami wysokich procentów i powierzyło oszczędności kilku pokoleń oszustom zagranicznym.

Od tych wywiezionych kapitałów nie otrzymują one grosza dywidendy. Rzeczypospolite amerykańskie zbankrutowały nie mniej bezwstydnie, jak rząd sułtański lub hiszpański. Dochody kolei amerykańskich zbudowanych za pieniądze angielskie, opędzają zaledwie koszta utrzymania ich w ładzie. Nierzetelność zagranicznych dłużników daje się czuć w każdej prawie rodzinie tutejszej. Wdowy, które ciułają w szafach swoich akcye nieprocentujące się od lat wielu, albo starców ogołoconych z mienia przez amerykańskich spekulantów, spotykam tu tak często, że zupełnie mnie nie dziwi zubożenie średnich warstw angielskich.

Miliardy zapłacone przez Francyą Niemcom nie wyrównałyby w ilości sumom zmarnowanym przez Anglików na awanturników zamorskich. Zresztą miliardy francuskie nie nadwyrężyły kapitału obrotowego społecznego, gdyż były owocem oszczędności masy narodu. Niemcy pragnęli złota – Francya miała go podostatkiem. Spoczywało ono w szkarpetkach i szkatułach skąpych chłopów francuskich, nie przynosząc takowym procentu. Wywiezienie jego z kraju nie uszczupliło dochodu społecznego, chociaż mimowolnie zmniejszyło bogactwo narodu. Role, winnice, warstaty i domy zostały w ręku chłopów i mieszczan; dochód tych ludzi nie uszczuplił się o jednego centima. Rzecz się miała inaczej w Anglii. Kraj ten wysłał swoje miliardy nie w formie złota, ale pod postacią szyn żelaznych, okrętów maszyn, lokomotyw i rozmaitych płodów przemysłu. Fabrykanci dostarczali tych rzeczy konsumentom zamorskim na kredyt. Żeby zaś mogli sporządzić te rzeczy i wysłać je, uciekali się sami do kredytu.

Przemysłowiec angielski płacił w owej epoce 7 od sta za zaliczki dostarczane mu przez banki. Płacił on chętnie tę niesłychaną w Anglii lichwę, spodziewając się ogromnych procentów od własnych zamorskich dłużników, którzy w końcu nie tylko procentu nie płacą, lecz zapierają się kapitału. Fabrykanci nie uiszczają się bankom, te upadają i niszczą depozytorów, depozytorowie ci zaś należą do kategoryi ludzi, których jedynem utrzymaniem był dochód z kapitalików ulokowanych w bankach. Podczas gdy lud francuski oddał Niemcom tylko oszczędności w formie złota często spoczywającego martwo i bez procentu, więc tworzącego tylko nominalne bogactwo, średnie klasy angielskie oddały zagranicy swój obrotowy kapitał. Francuzi pozbyli się oszczędności, lecz zachowali własność, której dochód służył im na utrzymanie; średni stan tutejszy, nie posiadając roli i domów, żyjący głównie z procentów od depozytów w bankach i papierów rozmaitych, stracił tę własność która go karmiła. Fakt ten, nieznany osobom, które nie wglądnęły w podział mienia istniejący w Anglii i w stosunki tutejsze, tłomaczy, dlaczego Francya zniosła bez uszczerbku stratę miliardów zabranych jej gwałtownie, dla czego zaś strata kapitałów pożyczonych bezpowrotnie przez Anglią Ameryce i innym krajom, zadała cios dotkliwy średnim warstwom brytańskim. *Lord* i *squire* tutejszy, dzierżący własność nieruchomą całego kraju, drwi dziś jeszcze z nędzy przemysłowców lub z ruiny drobnych rentierów. Pójdźmy do Hyde parku, lub na licytacyą obrazów, dyamentów albo dziwadeł porcelanowych w *West end*, a nie domyślimy się, że głód zaziera do schludnych *cottage*'ów angielskiego robotnika, że nie jedna *respectable* rodzina, posiadająca dziesiątki tysięcy nominalnych obligów zamorskich, nie może zapłacić komornego. W Hyde parku harcują nie mniej piękne konie, na licytacyach płacą szaleńsze ceny za przedmioty zbytku niż dawniej. Lecz nie sądźmy z tego powierzchownego blichtru, iż Anglia wciąż jest równie bogatą, że lud jej wciąż żyje równie obficie jak dawniej, lub cieszy tym samym komfortem, który podziwialiśmy przed laty. Dochody tego ludu zmniejszyły się w tym samym stosunku, w jakim zmniejszył się wywóz jego wyrobów, najmniej o 50 na sto... a uszczerbek ten spadł nań tak gwałtownie, bo w przeciągu lat czterech, że on sam nie może sobie zdać rachunku z tej klęski, ani umie się zastosować do nowych warunków. Wiele rodzin średnich wciąż żyje w dawny sposób, po nad skalę obecnych dochodów i z nadwerężeniem pozostającego im kapitału. Czynią to w nadziei, iż dobre czasy powrócą, że bankom lepiej pójdzie, zamorscy dłużnicy się uiszczą. Złudna to podobno nadzieja, sądząc z miesięcznych sprawozdań handlowych i celnych. Wywóz, jak wspomniałem, przybiera coraz szczuplejsze rozmiary, surowca coraz mniej dowożą, ubytek dochodu z ceł i akcyzy, tych czułych barometrów dobrobytu angielskiego, trapią coraz żywiej pana ministra skarbu. Gwiazda przemysłu i zamożności przygasa. Nikt zaś nie śmie wyrzec. kiedy znów zapłonie dawnym blaskiem, lub czy ożywi się raz jeszcze.

Ekonomiczne pytania zawsze zajmują uwagę Anglików nad wszelkie inne. Naturalnym więc skutkiem obecnego zastoju i biedy jest nieczułość mas na kwestje polityczne. Nigdy nie spotkałem pomiędzy Anglikami takiej obojętności na wypadki zagraniczne. O kwestyi wschodniej, rozbieranej co dnia w parlamencie, nikt nie rozprawia w towarzystwie. Pytałem osoby rozmaitych stanów, azali wojna z Rosyą byłaby popularną w Anglii. Niektórzy zbyli pytanie lekceważącym ruchem głowy inni myśleli, że skutkiem wojny *business* (interes) lepiej by poszedł, nikt jednak nie zdawał się zapatrywać na tę rzecz jako na stanowcze rozwiązanie zagadki, od której zawisł przyszły los i potęga Anglii. Troski codzienne i drobne zatargi handlowego życia przytępiły widocznie troskliwość mas tutejszych o przewagę polityczną swojej ojczyzny, zwęziły widnokrąg ich poglądów na sprawy świata, uczyniły ich większymi sobkami niż byli dawniej nawet O naszej kwestyi i mowy tu nie ma. Każdą wzmiankę o niej zbywają pogardliwym uśmiechem. Niektórzy Anglicy zżymają się wprawdzie, gdy wspomnę że Rosya mierzy do Indyi, lub może zadać niepowetowaną krzywdę lewantyńsko - angielskiemu handlowi. Inni narzekają na Turków i rozprawiają sentymentalnie o krzywdach bułgarskich, ale darmo szukałem potężnego, jawnego prądu opinii publicznej, któryby zmusił rząd wolnego kraju do stanowczego działania. Dawno już zapewnie nie widziano w Anglii podobnego fenomenu w chwili tak ważnej dla niej. Ministrowie, parlament i menery opozycyi piszą, mówią, hałasują, tworzą opinie publiczne i mają ręce wolniejsze niż kiedykolwiek w kierowaniu polityką angielską. Ekonomiczne utrapienia, nie pozwalają masom zajmować się kontrolą zagranicznej polityki.

Smutny to stan — nieprawda? dla wielkiej Anglii! Jest to jeden jeszcze ujemny fenomen owej wielkiej klęski ekonomicznej, która zaległa prawie wszystkie ucywilizowane kraje, oprócz Francyi. Bawiąc w Niemczech zauważyłem coś podobnego. I tam zdarzyło mi się słyszeć, wzdychania za wojną, tem motywowane, iż wojna zniszczyłaby istniejące zapasy, wywołała żywszą konsumpcyą, więc spowodowała odbyt, dała zajęcie robotnikom i poprawiła *geschäft*. Zaiste, smutny to, dziwny, okropny obłęd! Lecz podzielany przez miliony. Zabijajmy się, mówią oni, gdyż nas za dużo na świecie. Rzeź uszczupli liczbę konkurentów, ułatwi zaś pozostałym przy życiu sposoby zarobku. Spalmy i stratujmy zapasy nagromadzone w przeszłych latach w takiej obfitości — wołają oni dalej — że ani sprzedać ich ani zużytkować nie możemy. Zniszczenie to zmusi nas do stworzenia nowych zapasów... ożywi handel i da sposób zarobku!

Zauważyłem też w Niemczech głośne domagania się, nawet pomiędzy ludźmi dawniej liczonymi do obozu wolno handlowego, za protekcyą przemysłu domowego. Bieda obecna nawróciła ludzi wychowanych w zdrowych ideach, do teoryj wręcz przeciwnych. W powrocie do systemu protekcyjnego upatrują oni lekarstwo na nieopisaną klęskę, spowodowaną zmarnowaniem nietylko miliardów francuskich lecz i kapitału narodowego na nierozsądne przedsięwzięcia. Trudno wytłómaczyć tym ludziom, iż gwałtowne budowanie fortyfikacyi, kolei stategicznych, dzielnic pełnych ludności nie produkującej a konsumującej, doprowadziło kraj do ruiny, że ojczyzna ich przypomina szlachcica, który zadłużył swój majątek po nad wartość jego, aby tworzyć parki, dźwigać niepotrzebne gmachy i „ulepszyć“ swoję posiadłość nieruchomościami ozdobnemi, lecz nie dającemi intraty. Oni pojmują tylko, że przez lat parę, gdy wszystkie te niepotrzebne roboty wyrastały z ziemi na kształt grzybów po deszczu, im dobrze było. Przywykli oni za owych dobrych czasów do wygórowanego zarobku i wygódek rozmaitych, teraz zarobek i wygódki licho wzięło. Podobne skargi słyszę w Anglii i słyszałem w roku przeszłym w Ameryce. Masy tych krajów żyły długo nad stan, długo nadszarpywały i spożywały kapitały społeczne. Nie chcą one też pojąć, iż za marnotrawstwo przeszłe wypada pokutować obecną oszczędnością. Zanim połkną tę gorzką pigułkę, sprobują zapewnie niejednego słod-

szego lekarstwa, polecanego przez szarlatanów. Spróbują protekcyi, będą wołały o wojnę, będą szydziły z nauk zdrowej ekonomii. Wszak nawet w Anglii podnoszą protekcyoniści głowy, a profesor Bonamy Price pytał niedawno ze grozą, ażali Benthamy i Mille uczyli i pisali na darmo!

Ostatnie moje podróże po krajach tak odległych od siebie jak Ameryka, Rossya, Anglia, Niemcy itd. zwróciły moję uwagę na fenomen ogólnej nędzy i zastoju. Wybaczcie więc, że pierwszy mój list przepełniłem ogólnikami o tem zjawisku bieżącej epoki. Usprawiedliwcie mnie tem, iż ono jest o tyle powszechne i straszne, że najpierw rzuca mi się w oczy, gdziekolwiek przyjadę. W Ameryce czytałem o 2 milionach ludzi bez zajęcia, co się dzieje w Rossyi lub u was wiecie sami, że w Anglii nie lepiej, przekonałem się obecnie. Wszędzie i zawsze słyszę o przesileniach wywołanych nadprodukcyą lat upłynionych. Wszędzie opowiadają mi o dobrych czasach, gdy grzebano jamy w ziemi nazywając je tunelami, wznoszono nasypy i kładziono na nich relsy, budowano pałace i sporządzano niezliczone maszyny, i wszystko robiono i dostawano na kredyt, lub opłacano nie z oszczędności narodowych ale z kapitałów niezbędnych do życia. Sprzedaż wioski i kupowanie za spuściznę rodzicielską akcye w węgierskich Ostbahn'ach lub wiedeńskich baubankach nie była wyjątkowem, galicyjskiem zjawiskiem. Anglik wkładał mająteczek rodzinny, Niemiec niósł oszczędności z długoletniej pensyi, Amerykanim zastawiał swoję fermę, kwoli podobnym przedsięwzięciom. Teraz zaś, gdy robotnicy i urzędnicy i wszelkiego rodzaju darmozjady spożyli, przepili i zniszczyli owoce długoletniej pracy panów akcyonaryuszy, gdzie tylko przyjadę słyszę skargi na ogólną biedę — nigdzie zaś bardziej nie narzekają na nią, niż w Anglii.

Z KSIĘGI KAZNODZIEJÓW.

Wirują światy w rączym pędzie
Dawnemi tory bez wytchnienia —
Tak było w pierwszym dniu stworzenia,
Tak jest i dziś, tak zawsze będzie.

Do morza wodę znoszą rzeki
Które ją nazad chmurom zwraca,
Od wieków trwa ta żmudna praca
I będzie trwać po wszystkie wieki.

Do podmogilnych dążąc wczasów
Kroczy wciąż ludzkość bez przestanku —
Tak było w pierwszym dnia poranku,
Tak będzie aż do końca czasów.

Plon zgonów chłonie żywot łasy
I znowu śmierci plon oddawa—
Tak chcą przyrody twarde prawa,
Po wszystkie wieki, wszystkie czasy.

To co żywota zwiem imieniem
Powolnem tylko jest konaniem —
I wiecznem prochów wirowaniem,
I męką ciał i utrapieniem.

Harmonio świata! Klątwo bytu!
Zagadka twoja rozum paczy,
Jeśli jej miłość nie tłómaczy
I nie odziewa blaskiem świtu!

Włodzimierz Zagórski.

DOSYĆ.

(Urywek z pamiętników artysty.)

Turgeniewa

przełożyła

GABRYELA GRODNICKA.

I.

. . . .

II.

. . . .

III.

...„Dosyć“, mówiłem sobie, zstępując ze stromego spadku góry na brzeg cichej rzeczki; — „dosyć“ powtórzyłem oddychając żywicznym zapachem sosnowego gaju — „dosyć“, rzekłem raz jeszcze siadając na omszonym pagórku, nad brzegiem rzeczki i patrząc na jej ciemne, spokojne fale, obmywające blado zielone łodygi wiotkiej trzciny... Dość już miotania się, walki, czas ukryć twarz w dłonie i milczenie nakazać sercu. Wszystkiego doświadczałem w życiu, wszystko już odczuwałem niejednokrotnie... jam zmęczony. Co mi do tego, że w tej sekundzie jutrzenka rozlewa się po niebie coraz to jaśniej, coraz to szerzej, jakby natchniona jakiemś płomiennem uczuciem? Co mi do tego, że o dwa kroki odemnie, wśród ciszy i blasku wieczora, ozwał się nagle słowik tak dźwięcznemi tony, jakby prócz niego nie było słowików, i on pierwszy śpiewał pierwszą pieśń na cześć pierwszej miłości? Wszystko to było, było, powtarzało się, powtarza tysiąc razy, a myśl, że się tak powtarzać będzie, jak z musu, przez całą wieczność, drażni nawet! Tak... drażni!

IV.

Ot, postarzałem się. Kiedyś, podobne myśli i w głowie nie postały — kiedyś, w te dni szczęśliwe gdy w mojem sercu lśniły promienne jutrzenki i drżały pieśni słowicze. Trzeba przyznać, że wszystko zciemniało naokół, że życie zblakło. Światło, co barwom życia daje wartość i siłę, to światło, co w sercu ludzkiem ma źródło — zgasło we mnie... Nie, jeszcze nie zgasło, ale tli się już ledwie, bez promieni, bez ciepła. Pamiętam, raz, późno w noc, zbliżyłem się do okratowanego okna starej cerkwi i przytuliłem twarz do nierównej szyby. Było ciemno, pod niskiem sklepieniem jedna tylko zapomniana lampka gorzała czerwonym płomykiem przed starym obrazem, od ciemnego tła całości odbijały tylko lica świętego, jego wargi smutne, surowo zaciśnięte, posępny całun nocy unosił się po nad wszystkiem innem, i zdawało się, że za chwilę przytłumi swym ciężarem ten słaby promyczek niepotrzebnego światła... I w sercu mojem teraz takież światło i cień taki.

V.

Tobie to piszę mój jedyny, nigdy nie zapomniany druhu, tobie ukochana, którą porzuciłem na zawsze, ale której kochać nigdy nie przestanę. O, ty wiesz, co nas rozłączyło. Ale nie chcę teraz wspominać o tem. Porzuciłem cię... ale i tu, w tem pustkowiu, zdala od ciebie, wygnaniec — jam duchem z tobą, po dawnemu twój niewolnik i jak dawniej, czuję drogi ciężar twej ręki na mojej schylonej głowie. Po raz ostatni, podnosząc się z mego cichego grobu, obejmuję łagodnem spojrzeniem całą mą przeszłość, całą naszą przeszłość... Nie ma nadziei, nie ma powrotu, ale i goryczy we mnie nie ma i żalu. W mojej duszy rodzą się wspomnienia jak widma bogów pomarłych, jaśniejsze od niebios lazuru, czystsze od pierwszego śniegu na gór wyżynach.

VI.

Wspomniałem o świetle żyjącem w sercu, a zdolnem opromienić wszystko... Chciałbym pogawędzić z tobą o tym czasie, kiedy to i w mojem sercu gorzało to dobroczynne światło. Słuchaj — a ja sobie wyobrażę, że siedzisz tuż obok i patrzysz na mnie łagodnemi, a równocześnie niemal surowo uważnemi twemi oczyma. O nie dające się zapomnieć, drogie te oczy! Gdzie, w kogo wy wpatrzone teraz? Kogo wasze spojrzenie przenika? to spojrzenie, jakby płynące z nieznanej głębiny, podobne do owych tajemniczych źródeł jak wy, i jasnych, i ciemnych, tryskających z pod skał osłony. Słuchaj.

VII.

Było to w marcu, przed Zwiastowaniem Panny Maryi, wkrótce po poznaniu ciebie; jeszcze nic nie przeczuwając czem staniesz się dla mnie, nosiłem twój obraz w sercu, skrycie, w milczeniu. Miałem się przeprawić przez jedną z większych rzek naszych. Od czterech dni była odwilż. W około śniegi tajały, nieustannie a wciszy, wszędzie sączyła się woda, lekki wietrzyk odświeżał powietrze. Jednaką, mleczną barwą pokryły się niebo i ziemia, nie było ni mgły, ni światła, żaden przedmiot nie wyróżniał się z tej ogólnej białości; wszystko zdawało się być bliskiem a niejasnem. Zostawiwszy kibitkę daleko po za sobą, spiesznie stąpałem po lodzie odurzony powiewem budzącej się wiosny... i zwolna, z każdym krokiem naprzód ogarniała mnie jakaś niepojęta trwoga... A wzrastała ciagle tak, że nakoniec stanąłem zdumiony i rzuciłem wzrok pytający w około, jakby chcąc zbadać zewnętrzną tej bojaźni przyczynę... Wszystko było ciche, białe, senne; wzniosłem oczy: wysoko w przestworzu, płynęły stada wracających do nas ptaków... „Wiosna! witaj wiosno!“ krzyknąłem radośnie; „witaj życie i miłości i szczęścia!“ i wtejż chwilę nakształt otwierającego się kielicha kaktusowego kwiatu, przed oczyma mej duszy mignęłaś ty, dziwnie piękna, urocza, i zrozumiałem, że cię kocham, ciebie jednę, żem twój niewolnik na zawsze!

VIII.

Myślę o tobie i stają mi szeregiem różne inne wspomnienia, inne obrazy, a wszędzie ty, na każdej karcie mego życia spotykam ciebie. To widzę stary, rozległy sad, oświetlony promieniami zachodzącego słońca. Z po za srebrzystych topoli wygląda tarcicami pokryty dach szlacheckiej zagrody, po nad nim z białego komina wznosi się w wązkiej kolumnie sinawy dymek, w parkanie furtka, jakby ją kto popchnął niepewną ręką, lekko uchylona a ja stoję i patrzę na tę furtkę i na piasek ogrodowej ścieżyny, i dziwię się i rozczulam, a wszystko co widzę zda mi się być niezwykłem, nowem i słyszę już szelest kroków i jestem do głębi przejęty i lekki jak ptaszyna, co zaledwie zwinąwszy skrzydła, gotuje się do nowej gonitwy w obłokach — a serce — czując blizkie szczęście — drży mi radosną trwogą.

IX.

I widzę znów starożytną katedrę w dalekiej, prześlicznej krainie. Tłumami ciśnie się

lud; chłodny spokój tych modlitw, coś poważnego i smutnego wieje od wysokiego, nagiego sklepienia, od olbrzymich kolumn, rozszczepionych u wierzchołka. Ty stoisz przy mnie milcząca, obojętna — zda się — obca; każda fałda twego ciemnego płaszcza spływa w dół nieruchomie jakby wykuta z kamienia; nieruchomie leżą u stóp twoich na wytartych płytach — różnobarwne cienie szyb kolorowych. I nagle — w łagodny, poważny śpiew organów wmięszał się jakiś ton ostry — rozdarł zamglone kadzidłem powietrze i przeniknął nas do głębi — tyś pobladła, twój wzrok mnie dotknął, wzniósł się i zatrzymał na błękicie nieba — a jam uczuł, że tylko nieśmiertelna dusza może tak patrzeć, patrzeć takiemi czyma.

X.

Przedemną nowy obraz. Już nie starodawna świątynia przygniata nas swym surowym przepychem; niskie to ściany maleńkiej izdebki odgradzają nas od całego świata. Co mówię! my sami, sami w całym świecie — prócz nas dwojga wszystko martwe, po za temi miłemi ścianami ciemność, śmierć, pustkowie. To nie wiatr tak wyje, to nie deszcz leje strumieniem — to żali się i jęczy Chaos, to płaczą jego ociemniałe oczy. A u nas cicho i jasno i ciepło; w powietrzu unosi się coś takiego wesołego, dziecięco niewinnego, coś co tchnie motylkiem — niepraw daż? — Przytuliliśmy się jedno do drugiego i dotykając się głowami czytamy śliczną książkę; czuję jak pulsuje cienka żyłka na twej śnieżnej skroni, słyszę twój oddech, ty mój słyszysz, twój uśmiech rodzi się na moich ustach prędzej niż u ciebie — milcząco odpowiadasz na moje milczące pytanie, nasze myśli jak dwa skrzydła tonącej w lazurach ptaszyny; — ostatnie między nami znikły przegrody i taka spokojna, głęboka nasza miłość, my tak zjednoczeni, że się nam nawet nie chce zamieniać wzajemnie słowa, spojrzenia. Tylko chcielibyśmy oddychać, oddychać razem, żyć razem, być razem... i nawet nie uznawać tego, żeśmy razem...

XI.

Po raz ostatni przywołuję te wspomnienia i żegnam je na zawsze. Tak, skąpiec, po raz ostatni nasyciwszy oczy swem złotem, swym skarbem, zasypuje go szarą, wilgotną ziemią; tak światło gasnącej lampy, błysnąwszy ostatnim czerwonym płomykiem, pokrywa się zimnym popiołem. Po raz ostatni wygląda zwierzątko ze swojej nory nacieszyć się aksamitną trawką, słoneczkiem, lazurową falą jeziora, a potem wciska się napowrót w swój kącik, zwija w kłębek — i usypia. Będąż jemu, choć we śnie jawić się i słoneczko i trawka i błękitne fale jeziora?

XII.

Los jest dla nas surowym, bezlitośnym oj czymem — i tylko w pierwszych latach młodości zajęci zdarzeniami życia, głupstwem, sobą — nie czujemy jego twardej ręki. Póki można łudzić się i nie wstyd kłamać — póty można żyć i nie wstyd mieć nadzieję. Poznanie prawdy — nie bezwzględnej prawdy — o tej i mowy być nie może — ale nawet tej jej cząsteczki, która nam dostępną — zamyka nam natychmiast usta, wiąże ręce, wiedzie do ostatecznego wyniku: — „nic.“ Ci, co tę iskierkę prawdy zdołali odgadnąć, cóż mają uczynić, by nie runąć i w proch się rozsypać, by nie pogardzić sobą? — tylko twarz odwrócić spokojnie od wszystkiego, zawo łać: dosyć! a skrzyżowawszy bezużyteczne ręce na pustej piersi, zachować ostatnią, jedyną jaką mieć mogą, wyższość — wyższość uznania własnej nicości. O tej to wyższości napomyka Pascal porównywając człowieka do myślącej trzciny, która, choćby ją cały wszechświat przygniatał swą potęgą, byłaby wyższą od wszechświata świadomością swego ucisku, podczas gdy jego siły byłyby ślepe, bezrozumne. Maluczka to wyższość! Smutna pociecha! Cobądź uczynisz, kimkolwiek jesteś, mój bracie — nie zadasz kłamu słowom poety:

Życie jest tylko przechodnim półcieniém,
Nędznym aktorem, który swoję rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie,
W nicość przepada — powieścią idioty —
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą *)

Przytoczyłem słowa Makbetha i przypomniały mi się wiedźmy, przywidzenia... O, nie mary to, nie złudzenia, nie podziemne siły tak straszne. — To najwięcej przeraża, że nic nie ma strasznego, że życie czcze, żebraczo płytkie. Komu gorycz takiej pewności zaleje duszę, ten już w życiu nie zazna słodyczy — i nawet miłość — to szczęście i błogosławieństwo ludów — w jego oczach będzie bez blasku: złowrogi cień na nią rzuci — właściwa rzeczom ludzkim — jej znikomość i błahość. Bo czyż nie tak? Człowiek pokochał, zamarzył o wiecznem szczęściu, o nieśmiertelnej miłości — a tu nagle spostrzega się, że to uczucie, które sądził być wiecznem, coraz to blednie, gaśnie — rozwiewa się jak ideał pod rzeczywistości tchnieniem; spostrzega, że serce jego już zwykłem, spokojnem bije tętnem. Podobnie, późną jesienią, w mroźny poranek, gdy wszystkie żyjątka martwe i nieme spoczywają w zżółkłej trawie, zachce się słońcu wychylić na chwilę z poza chmur i musnąć pieszczotliwie zastygłą ziemię — wnet zewsząd wtedy zrywają się owadów roje, igrają w jego ciepłym promieniu, zwijają się skrzętnie, wznoszą, zniżają, brzęczą radośnie jeden do drugiego... Słońce chowa się — jak krople deszczu spadają owady — skończyło się ich chwilowe życie.

(Dok. n.)

T. V. N. 34.

*) Macbet — Akt V. scena 5ta.

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XIX.

Car Piotr i jego tolerancya.

Władyctwo mohilewskie schizmatyckie zgasło za Augusta Sasa, nie miało dosyć owieczek. Że nie była to dyecezya starsza i unicka, że istniała dopiero od Władysława IV. umyślnie dla schizmy założona, nie obejmowali jej biskupi unici. W Polsce zawsze dziewięć dyecezyj pozostało. Na dziewięć tylko biskupstw unickich dzieliła się Ruś, a więc i mohilewskie strony należały pod względem religijnym do arcybiskupstwa połockiego i smoleńskiego, lub do pińskich władyków. Schizmatycy wprzód byli tylko pod jednym już ostatnim biskupem schizmatyckim mohilewskim. Teraz gdy schizma umarła z wycieńczenia, gdy jej wyznawców już nie stało, gdy dawni schizmatycy zostali unitami i weszli w skład dawniejszych unickich dyecezyi, nie potrzeba było obsadzać oddzielnym ruskim biskupem unickim cerkwi mohilewskiej, która kanonicznie w kościele katolickim nie istniała. Ustał więc całkowicie i sam tytuł. Coś się zostało schizmatyków w Polsce, ale zawsze nie było ich tyle, żeby aż potrzebowali osobnego dla siebie władyki. Źle to zapewne, bardzo źle było, że i dla tej nawet szczupłej garstki Rzeczpospolita nie obmyśliła władzy duchownej, bo przez to poddała ją niechcący w ręce schizmy moskiewskiej; ale w położeniu ówczesnem nie mogła o tem myśleć Rzeczpospolita, nie miała nawet czasu myśleć, udręczona, skłopotana, bez siły wewnątrz. Wtenczas jeszcze i na Ukrainie, w okolicach kijowskich i na Białej Rusi wznosiły się kupkami cerkwie schizmatyckie, po innych stronach Korony i Litwy gdzieniegdzie tylko ukazywał się oku podróżnego jaki monastyr schizmatycki. Są to pomniki, historyczne więcej pamiątki, ślady tego, co kiedyś było. Na Ukrainie lub około Słucka jeszcze potrzebom duchowym ludności służą, ale tam tylko; gdzieindziej sterczą jak wyspy wynurzone z wody, zewsząd morzem unii oblane. Takim jest naprzykład pod Białą Radziwiłłowską monastyr jabłeczański, który aż do dzisiejszych nawracań mikołajewskich pozostał w kraju na skroś w około katolickim. Ten monastyr leży w Królestwie Polskiem kongresowem. Pięćdziesiąt mil trzeba było od niego na wschód jechać, żeby spotkać ludzi, którzy tę samą co monastyr wyznawali wiarę. Niechajby tylko wypadki rozwijały się dalej zwykłą koleją, naturalnie, a w pół wieku najdalej nie byłoby już ani śladu dyzunii w Polsce.

Dodamy, że Kijów razem z całą Ukrainą zadnieprską w objęciach Moskwy, coraz więcej tracił swoję samodzielność narodową i cerkiewną. Z metropolią kijowską pierwszy pod zarząd patryarchy moskiewskiego przeszedł książę Gedeon Czetwertyński, który już za Jana Kazimierza z trudnością się trzymał na biskupstwie łuckiem, tak cały Wołyń był unickim. Szlachty schizmatyckiej nie widziano, w jednej tylko historycznej książęcej rodzinie Czetwertyńskich znaleźli się przyjaciele schizmy. Dotykamy tu przedmiotu, o którym już raz pisaliśmy z powodu dzieła p. Alexis de Saint-Priest: Le partage de la Pologne *).

Schizmę postanowił obudzić galwanicznymi środkami car Piotr, godny następca Iwanów i Wasilów i godny przodek cesarzowej Katarzyny i cesarza Mikołaja. Podwójna leżała w nim dostojność i wielkość. Podania caratu mongolskiego przynosił z sobą i geniusz w swoim rodzaju. Umiał tchnąć nowe życie nawet w to, co już zdawało się, że kresu ostatecznego dosięgło.

Jeżeli Moskwa będzie mogła kiedy ze swobodniejszą myślą, z europejskiem poczuciem nauki i sprawiedliwości, opracować swoję historyą, wtenczas przeklnie cara Piotra, tak jak sama nie wie za co przeklina od wieku Mazepę. Ale nie prędko to nastąpi; więc Moskwa dzisiaj jeszcze ubóstwia cara Piotra i długo ubóstwiać go będzie. Żaden car, nawet Iwan Groźny, na takim wysokim piedestale nie postawił władzy moskiewskiej, żaden nie upokorzył tak jeszcze godności ludzkiej. Tyran i despota, jakich pięciu trudno znaleść w przeszłości wieków tylu.

*) W „Przeglądzie Poznańskim.“

Ten wielki tolerant i obrońca sprawiedliwości moskiewskiej odkrył, że w Polsce, gdzieś na Pograniczu Ukrainy od Kijowa i na Białej Rusi, około Mohilewa, jest kilka, może kilkanaście tysięcy schizmatyków, którzy jeszcze wzbraniają się przyjąć unii. Ludność to była miejscowa, bo w owe strony, na Ukrainę zwłaszcza, napłynęła z głębi krajów koronnych ludność inna, unicka, na opustoszałe ziemie po wojnach kozackich i hajdamackich. To fakt dziwny w losach tej ziemi. Ludna, bogata, nieraz się wyludniała i świeciła ruiną, bo Chmielnickiego system zaprowadzał rozbój, a roztrwaniał majątek ziemi. Ludność ginęła w bojach, topniała w jassyrach za morzem. W rzadkich chwilach spokojności, rozbitki z pogromu wracali do zagród rodzinnych, ale nic już nie znajdywali; ani wiosek, ani osad, ani granic nie było, wszędzie pustka i zniszczenie. Z trudem kolonizowała się Ukraina kilka razy. Panowie, co mieli tam posiadłości swoje leżące odłogiem, sprowadzali z innych dóbr, z głębi kraju, ludność pogranicznych województw, ludność mięszaną, ruską i polską, żeby snuć dalej wątek Penelopy. W dziejach Ukrainy powtarza się ciągle jedna zwrotka, w pieśniach lud śpiewa o Rusinie. Wyraz to techniczny i oznacza te doby życia prowincyonalnego, które upłynęły pomiędzy jedną i drugą kolonizacyą kraju. Ta ludność nowa Ukrainy mogłaż być inną, byłaż inną, niż unicką, duchem polskim na wskróś przesiąkłą? Policzyć można te warstwy napływowe na Ukrainie. Szlachta nad Horyniem, Styrem, Bohem i Rosią, jest miejscowa, ruska, bo trzymała się ziemi, własności swej; lud zaś po większej części jest potomstwem ludu z wnętrza kraju ciągle przybywającego na stepy graniczne Rzplitej. Że lud przeważnie napływał tam ruski, więc i Mazurowie nawet, których tam gęsto było, zrusieli. Ostatnia kolonizacya zaczynała się właśnie za czasów Piotra po ostatnich wojnach hajdamackich Samusia i Paleja, które już jako echo oddalonej burzy odzywały się po Chmielnickim. Kolonizacya słaba z początku, bo na kresach tych cywilizacyi, nie z ochotą osiadał rolnik, trafiła na lepsze chwile, i dotrwała do czasów bardzo spokojnych panowania Augusta III. Kraj odbywał właśnie ostatnie swoje i stanowcze przeobrażenie. Wojny kozackie ustały, zostawiając tylko za sobą jako ogon komety rozboje hajdamackie po lasach i drogach. Prace zacne, organiczne, misye bazyliańskie podnosiły moralność gminu, sam napływ świeżej ludności, usuwał hajdamaczyznę. Moskwa coraz więcej brała w kleszcze kozaków zadnieprskich po strasznym upadku nadziei narodowych za Mazepy i na Sicz zaporożską się srożyła. Była i ta Sicz już w zupełnym rozstroju, przeżyła czasy swoje, stała się anachronizmem. Sicz, co nie bywało dawniej, zaczynała sympatyzować z Polską przez obawę od Moskwy, śmiertelnej, jak przeczuwała nieprzyjaciółki. To troszkę żywiołu miejscowego schizmatyckiego, co zostało się w Ukrainie, już więcej paraliżować Rzeczpospolitej nie mogło. Rzecz jasna, że ta odrobina nikła, rozpadała się.

Car Piotr przeląkł się. Rzeź półwiekowa miałażby tylko skończyć się oderwaniem od Polski Zadnieprza, sponiewieraniem go, zgnieceniem? Car miałżeby utracić wstęp do Polski? Rola Iwanów nie skończyła się przecież. Moskwa będąca w dobie siły, rozkwitu najdzielniejszego, zabierać musi. Nie ma w Polsce schizmy, trzeba ją stworzyć.

I nagle cara Piotra serce rozbolało i staje się wielkim tolerantem, królom europejskim na wzór, na podziwienie cywilizacyi. Pożałował tej małej garstki ludu bez pasterza w Polsce, opiekun szlachetny, bezinteresowny, przenajzacniejszy, troszczy się o zbawienie ludu, ale nie swego. Lud moskiewski niechaj sobie żyje w upodleniu, w ciemnocie, w barbarzyństwie, niechaj szatanowi sprawia pociechę; carowi trzeba oświecić lud ruski w Polsce, tam pole dla jego apostolstwa. Ależ to lud nie twój, co masz do niego? Powie historya i logika. Ależ to lud nie twój, powie mu Polska, jam dla niego pracowała wiele i ku jedności go wiodę, o tymczasowych potrzebach jego duchowych nie zapomnę. Car o logikę i o historyą się nie troszczy, a Polska, to jak wiadomo, stara buntownica.

Jasno teraz, że cara serce rozbolało, nikt się temu nie zadziwi; była przyczyna. Carowi każdemu zawsze rozboleje serce, kiedy dojrzy jakiejkolwiekbądź niecnoty; carowie płaczą na każdy ucisk nie u siebie, oni, co są samą prawdą i zacnością. Wszakże widzieliśmy to i za dni naszych. Czyż cesarza Mikołaja nie rozbolało także serce nad położeniem i nad biedną dolą chrześcian tureckich?*) Czyż syn jego nie czuwa nad losem tylu ofiar fanatyzmu Abdul Medżidów, Abdul Azisów? Nie ma serca miłościwszego na świecie nad serce carskie. To pewnik matematyczny.

Tolerant ten z rozbolałem sercem, car Piotr mógł jednak znaleść u siebie, w kraju moskiewskim najrozleglejsze pole, do rozwijania najpiękniejszej ze swoich cnót religijnych, osadzającej się na miłości, na tolerancyi. Świat katolicki tam się kończył, gdzie kończyła się Polska, przedstawicielka cywilizacyi. Świat ten katolicki od wieków starał się o to, ażeby mógł sobie otworzyć drogę dalej na północny i południowy wschód, ku Uralowi na Kaukaz. Na pierwszy raz pragnął mieć swoję osadę, maleńki kościołek w Moskwie. Car miał w służbie swojej katolików z Zachodu, kraj swój spoufalał z Europą, handlem chciał go zbliżyć do cywilizacyi. Tysiączne były powody, żeby pozwolić na kościołek. Owoż od wieków, jak Moskwa Moskwą, carowie Iwany i Wasile na to pozwalali. Ależ owi carowie byli to ludzie starej daty, nie postępowych wyobrażeń. Piotr siał inne zasady na gruncie. Toż samo spoufalenie Zachodu z Moskwą, więcej mogło nastąpić na drodze tolerancyi religijnej, niż przez reformę i handel, przez golenie bród kacapom, przez nadawanie hrabskich godności potomkom bojarów, przestrojonym we fraki i fryzury. Moskal i hrabia, to coś tak potwornego za Piotra, jak marszałek, konetabel, kanclerz koronny w Chinach. Z tem wszystkiem car Piotr, acz w istocie nie miał dużo przesądów swojej krwi i swojego narodu, miał instynktowy wstręt ku cywilizacyi. Jemu formy europejskiej potrzeba było, powierzchownej ogłady, nie rzeczy, a głównie chodziło mu o użycie środków cywilizacyi ku wzmocnieniu jeszcze potężniejszemu, caratu. Z takim zasobem pomysłów, z taką siłą żelaznego charakteru, mógł rzeczywiście cywilizować swój naród, a tymczasem coraz więcej go upadlał, siebie tylko podnosił. Car nie pozwolił na zbudowanie kościoła katolickiego w Moskwie, pomimo nalegań bardzo poważnych. Tem mógł sobie zaszkodzić, bo Europie pokazywał jakiej ceny są te jego wszystkie wielkie reformy, mógł niewiarę dla nich obudzić. Genialny car uwodził się tylko po prostu wstrętem ku kościołowi katolickiemu, znieść go nie mógł, jak ciemność światła nie cierpi. Panował samowładnie w cerkwi, nie mógł panować w kościele. Ale to bynajmniej carowi nie przeszkadzało do dysput z paryską Sorboną o połączenie się dwóch kościołów, wschodniego i zachodniego, dysput jednających mu popularność i wziętość. Car Piotr czuł, że Europie coś ustąpić potrzeba, dla tego szafował pozorami i uwalniał się niby małym kosztem od przesądów. Car potrzebował pochlebstw uczonego areopagu. Mimo to, powtarzamy, nie pozwolił Piotr na zbudowanie kościoła katolickiego w Moskwie. Zaprawdę, gdyby jedność była panowała wówczas w całym kościele, gdyby ją car zastał wstępując na tron, byłby sam stworzył schizmę.

Car Piotr u siebie zniósł patryarchat, bo patryarchat zawadzał jego pomysłom, jego geniuszowi; czego inni nie śmieli, to zrobił, co jest: ogłosił się głową kościoła, prawodawcą cerkwi i zaprowadził synod, który był jakby drugą częścią jego senatu rządzącego. W Moskwie wyrazy europejskie, do gruntu zmieniają swoje znaczenie. Myślałby kto, że senat ów sławny, był czemś w rodzaju władzy prawodawczej, choćby doradczej i bardzo, bardzo określonej. Nie, senat był zbiorowiskiem ludzi do wykonywania ślepo rozkazów carskich, czynowników z ducha i urzędu. W Europie władza wykonawcza jest przy królu, prawodawcza wyższa przy senatach, izbach i parlamentach. W Moskwie na opak. Car stał się władzą czysto prawodawczą, bo wykonawczą wydzielił z siebie i zdał na senat, który nazwał rządzącym. Senat więc tutaj brał rozkazy od barbarzyńcy, nakazywał je władzom podrzędnym wykonywać i wykonania przestrzegał. Tak i synod ów święty był rządzącym, to jest przyjmował rozkazy prawodawcy i głowy cerkwi, i rozsyłał je po wszystkich wiernych poddanych, rozległych części moskiewskiego kraju, kazał rozporządzenia wykonywać i wykonania przestrzegał, a większą siłą był jeszcze uzbrojony niż senat rządzący, bo przemawiał w imieniu nietylko cara, lecz i Boga. W Moskwie ślepo słuchali wszyscy cara barbarzyńcy, ale ukazy jego synodu z religijnem musieli przyjmować wzruszeniem, bo obawiali się piekła, na które mógł synod i za życia jeszcze biednych Moskali skazywać. Cóż poszło za tem okropnem przywłaszczeniem? Oto, car Piotr metropolitów swoich, arcybiskupów i biskupów zmienił w swoich jenerałów, rangi im ponadawał: metropolita był to jenerał piechoty lub jazdy, arcybiskup jenerał leitnant, biskup jenerał major. Wyszło z tego, że patryarcha, gdyby za Piotra uchował się był który, byłby jenerałem feldmarszałkiem. Feldmarszałków wojska po kilku mają, nie jest więc to stopień jeszcze ostatni i jedyny, dlatego podług systematu Piotra synod grecki miał pięciu feldmarszałków. Ale jakże to? I car Piotr miałby być tylko feldmarszałkiem „równym innym patryarchom?“ Przerachował się w upojeniu pychy. Został głową tylko jednej piątej części kościoła greckiego. Więc obejrzawszy się po sobie, zaczął przybierać postać naczelnego wodza, generalissimusa cerkwi. To żart, ale odrzućmy ironią na stronę, w każdym razie rzecz jasna, że nisko bardzo w Moskwie spadł najwyższy na świecie urząd pasterstwa i nauczycielstwa apostolskiego. Biskupi moskiewscy byli kolegami, nie zaś pasterzami jenerałów, przewodnikami do Boga, a jenerał lejtnant, jenerał pie-

*) Mamy dziś świeże tego dowody. (Przyp. Red.)

choty jakże był wyższym od prostego biskupa? Wojsko przedewszystkiem, nawet przed cerkwią; dlatego jenerał poprzedzał biskupa. Smutno to pisać, historyi przecież prawda się należy.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XII.

(b.) We wtorek d. 24 b. m. trzy kondukta pogrzebowe, trzech w różnych kierunkach zasłużonych ludzi, sunęły zwolna przez ulice naszego miasta. O godzinie 9 rano, liczne grono dostojników urzędowych, reprezentantów uniwersytetu i akademii umiejętności, odprowadzało na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ś. p. Maurycego Dzieduszyckiego, zasłużonego autora „Żywotu Oleśnickiego“ — „Piotra Skargi“ i wielu innych.

Jakkolwiek zmarły należał za życia do tak zwanej partyi ultramontańskiej, to jednak po śmierci, wolno nam podnieść nad jego mogiłą zasługę, że nigdy nie sprzeniewierzył się imieniowi polskiemu — lecz owszem, kiedy pewna część ultramontanów wystąpiła publicznie przeciw miłości ojczyzny, jako uczuciu czysto pogańskiemu, ś. p. Maurycy Dzieduszycki rzucił im rękawicę, w prześlicznie skreślonej broszurze p. t. „Ojczyzna.“

O czwartej tegoż dnia — wspaniały pochód kilkutysięcznego ludu, — z chorągwią „Gwiazdy“ na czele, towarzyszył pogrzebowi ś. p. Jana Pawulskiego, weterana armii napoleońskiej, żołnierza polskiego, wojownika z pod Możajska, Berezyny i Lipska — osobistości nadzwyczaj popularnej i powszechnie szanowanej we Lwowie, który zmarł w sędziwym wieku, bo w 85 roku życia. Pawulski — od lat wielu pracował na kopcu unii. O świcie latem — w każdy dzień pogodny zimą, widzieć można było zacnego staruszka, wznoszącego pagórek kopca, naprawiającego uszkodzenia jego i czuwającego z troskliwością naiwną prawie, nad dziełem, do którego tyle przywiązywał nadziei. Słusznie go też, p. Władysław Bełza w wierszu, który poniżej przytaczamy, nazwał „strażnikiem kopca.“ Istotnie — był on jakby jednym z tych dobrych, opiekuńczych duchów tego miejsca — o których tyle legend nasłuchaliśmy się w dzieciństwie. Ostatniem jego życzeniem było spocząć na kopcu...

Wieczorem znowu, tegoż żałobnego dnia, o godzinie 6tej, z głównego szpitala, garstka patryotów towarzyszyła trumnie księdza Antoniego Laurysiewicza, jednego z męczenników podlaskich, starca, kaleki i wygnańca... Wracające z pogrzebu Pawulskiego tłumy ludności — zatrzymały się z uszanowaniem u wrót cmentarza przed tą samotną trumną — a potem, jakby iskrą elektryczną uderzone, rzuciły się w stronę otwartego grobu — i nie rydel grabarza — ale tysiące rąk usypało mu mogiłę, w której oby znalazł spokój i pamięć wieczystą.

STRAŻNIK KOPCA.

Znałem go... Był to starzec zacny, dobrotliwy,
Pogodny jak dzień letni a jak gołąb siwy.
Pamiętam, kiedy rankiem wybiegał na miasto,
Potrząsając na czole czapką trójgraniastą,
I patrząc w stronę kopca, gdzie rosło powoli,
Dzieło jego starania, dzieło rąk i woli!
On wszystko co ukochał widział w kopcu owym,
Drżącą ręką, — za przykład służył rękom zdrowym,
I patrząc jak ten kopiec co raz wyżej pnie się,
Myślał, że całą Polskę sam na rękach wzniesie!

Nie ma cię już strażniku narodowej chwały!
Nie ma cię już na ziemi starcze osiwiały!
A przecież tak z tą myślą pogodzić się trudno,
Tak tu głucho po tobie, tak pusto, nieludno,
Że każdemu się zdaje tracić z Twoim zgonem,
Tego co był mu ojcem, wzorem i patronem.

Mówiono — że gdyś konał, rzekłeś swemu chłopcu:
„Wnuku, kiedy ja umrę pogrzeb mię na kopcu —
Starą szablę z pod Lipska włóż mi w zimne dłonie,
Martwą twarzą i wzrokiem zwróć ku wschodniej stronie,
I lekko posyp ziemią — bym pierwszy był z brzegu,
Gdy Bóg starych wiarusów wezwie do szeregu!“

I z tem zgasł... Pokój tobie starcze siwowłosy,
Tak! dzieło twe nie zginie — wzrośnie pod niebiosy,
Bo ty strażniku pilny — czuwając z wysoka,
Nie spuścisz zeń po wieki opatrznego oka!

Wł. Bełza.

* * *

(A.) Pomiędzy słuchaczami lwowskiej Akademii technicznej zawiązanem zostało *Towarzystwo wzajemnej pomocy naukowej*, które do swych celów dążyć ma za pomocą odczytów, repetytoryów z przedmiotów wykładanych w Akademii, wycieczek do fabryk, wydawania skryptów i dzieł technicznych w polskim języku, urządzania wystaw dorocznych i t. p. Możemy tylko przyklasnąć myśli poczciwej a to tem goręcej, że w odezwie znajdujemy, iż towarzystwo opierać się będzie na *własnych siłach*, że więc nie będzie jak to niestety jeszcze u nas we zwyczaju, wyciągać ręki do publiczności za pomocą balów i różnych widowisk, które nie licują wcale z godnością akademicką.

* * *

(B.) *Gazeta Narodowa* rozesłała wezwanie o składki na pokrycie kosztów pielgrzymki do Rzymu, w której ma przyjąć udział pewna liczba włościan, księży i innych osób z wyboru i pod kierunkiem znanego z niedawnego procesu ks. Stojałowskiego. Koszta mniej więcej obliczone są na 6 do 10 tysięcy złr. Otóż zapytujemy jaka może być korzyść dla kraju z tej pielgrzymki? Bo że tam włościanie dostąpią zaszczytu pocałowania pantofli papiezkich, (jeżeli dostąpią?) że zobaczą po drodze kilka murowanych miast (jeżeli zobaczą?), to jeszcze żadna, absolutnie żadna korzyść. Pomijamy czas stracony i owszem cieszylibyśmy się z rozrywki, jakiej użyje pewna garstka ludu naszego w pocie czoła pracującego całe życie na ojczystej niwie, ale strata kilku tysięcy zebranych z ofiar jest rzeczą nie do przebaczenia, gdy się zważy, że ten lud potrzebuje szkół, a nauczyciele wiejscy nie mają nawet dostatecznie zaspokojonych potrzeb codziennego życia. Naród nasz potrzebuje tak wiele łożyć ofiar na ołtarzu oświaty ludu, że wszelkie inne składki na cele dobroczynne możnaby uważać prawie jako zbytek, a cóż dopiero ofiary bezcelowe! Czy nie z większą byłoby korzyścią dla tych pielgrzymów odbyć podróż do Poznania, Krakowa i do innych zresztą miast kraju naszego? *Gazeta Narodowa* dając swoje poparcie tak lekkomyślnemu projektowi, nie wzięła widocznie na uwagę całej jego niestosowności.

* * *

(O.) Pisaliśmy w swoim czasie w artykule wstępnym o projekcie założenia towarzystwa polsko-żydowskiego, któreby miało za cel krzewienia oświaty i patryotyzmu między wyznawcami starego zakonu. Obecnie towarzystwo takie już się ukonstytuowało i nosi nazwę: „Dorsze Szołom,“ to znaczy: zwiastun pokoju. Jest to przeciwstawienie śmiesznej już dzisiaj nazwy dawnego towarzystwa: „Szomer Izrael,“ co znaczy: straż Izraela, jakoby zagrożonego przez chrześcian! Dotychczas pod godło zwiastuna pokoju zapisało się sześćdziesięciu kilku członków, z których na posiedzeniu środowem po pięknej przemowie dra Goldmana, wybrano do zarządu pp. drów Filipa Zuckra, Blumenfelda, Goldmana, Schaffa, oraz pp. Salamona Landau, Maurycego Diamanta i Samuela Horowitza, a na zastępców pp. Maurycego Markheima, Zygmunta Zuckra i Jakóba Pipesa.

Mamy nadzieję, że tym razem będzie to prawdziwa „straż Izraela,“ broniąca go przeciw najgorszym wrogom postępu i dobrobytu — przeciw fanatyzmowi i ciemnocie.

* * *

(Z.) Mamy tedy wojnę... Twarze ożywiają się nadzieją, serca biją silniej, gazety powiększają liczbę gorliwych czytelników a przed oknami księgarni, zatrzymują się gromadki domorosłych polityków rozpatrujących gorączkowo układ chorągiewek na mapie. Czegoż mamy sobie życzyć wobec telegramów wojennych?

Oto przedewszystkiem nie zaniedbujmy zajęć pokojowych! Dla nas nie skończyła się jeszcze epoka cichej pracy.

Pamiętajmy o Sejmie! Pamiętajmy o Wystawie!

MIESZKANCY INNYCH ŚWIATÓW.

Pogadanka naukowa.

(*Dokończenie*).

W pogadance naszej określiliśmy dotąd w kilku słowach stan planet i ich towarzyszy; widzieliśmy jakie tam są fizyczne warunki, czem się różnią jedne od drugich, słowem, przedstawiliśmy w zarysie otoczenie, w które fantazya nasza, bo niestety nie mamy żadnych innych pewnych podstaw, wprowadzić chce żyjące istoty, zaludnić je mieszkańcami. Stawimy więc sobie pytanie: czy na planetach i ich księżycach mogą istnieć organizmy żyjące w warunkach, które udało się wykryć za pomocą badań astronomicznych? Odpowiedź na to pytanie nie jest tak trudną, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło, lecz nie może ona być bezwzględną, gdyż nigdy prawdopodobnie ostatecznych, decydujących, namacalnych dowodów mieć nie będziemy. Zmuszeni będziemy zawsze wydawać sąd przez analogią. Dziś wszyscy poważnie myślący badacze uważają istoty żyjące na ziemi, jako produkty otoczenia, produkty ziemi, atmosfery i słońca. Powietrze, którem oddychamy nie dla tego składa się z 79 części azotu i 21 tlenu, że organizmy potrzebują tej mięszaniny dla oddychania, lecz zupełnie odwrotnie życie organiczne na ziemi przystosowało się do takich warunków i stosownie do tego się rozwinęło. To samo możemy powiedzieć o węglu względnie do roślin i o wszystkich ciałach, które są potrzebne

do powstania i zbudowania organizmów. Gdyby wskutek jakiś katastrofy, mięszanina powietrza zmieniła się cokolwiek, gdyby mała ilość kwasu węglowego, w powietrzu zawarta, zdwoiła się tak raptownie, lub też zmniejszyła się o połowę, gdyby nastąpiła jakaś zmiana w oddaleniu ziemi od słońca, albo też w nachyleniu osi ziemskiej, to można twierdzić napewno, że większość organizmów na ziemi naszej wyginęłaby, gdyż nie miałaby warunków, względnie do których była ukształtowaną. Ta znowu część któraby ocalała i zastosowała się do nowych warunków, powoli by się rozmnażała, zmieniała formy i zaludniłaby świat, w ciągu długich wieków organizmami tak różnymi od poprzednich, jak różnymi są nasze organizmy od np. organizmów epoki węglowej!

Tych kilka uwag najkrótszą drogą prowadzą nas do odpowiedzi na powyżej zadane pytanie. Jeżeli tak małe zmiany na naszej ziemi wywołałyby tak wielkie przewroty w przejawach życiowych, to cóż dopiero za różne od naszych organizmy mogą istnieć na planetach, na których, jak to poprzednio wykazaliśmy tak rozmaite są warunki. Jakie niespodziewane, nie dające się wyobrazić formy istot żyjących, muszą być na innych planetach, na których otoczenie jest tak wybitnie różnem od naszego! Musimy zrzec się myśli, że jakieś istoty podobne do człowieka, tam, na tych odległych światach istnieć mogą. Jakiemi nieznanemi, nieoczekiwanemi organizmami musi być zaludniony Mars, który jednak co do swych warunków tak mało się różni od ziemi; a cóż dopiero mówić o innych ciałach niebieskich należących do naszego układu.

Pierwszem pytaniem ktoreśmy sobie zadali było, czy mogą istnieć organizmy na innych planetach; przejdźmy teraz do ogólniejszego, czy wszędzie trzeba istnienie ich przypuszczać? Na to odpowiedzieć musimy, że życie organiczne nie tylko może wszędzie istnieć, lecz nawet *musi istnieć* tam, gdzie są po temu warunki. A jak obszerne granice tych warunków, wiemy z doświadczeń na naszej ziemi czynionych, Prawa przyrody są wieczne i niezmienne, stosuje się to do wszystkich światów, a powyższe przypuszczenie zyskuje jeszcze na prawdopodobieństwie, jeśli weźmiemy pod uwagę że wszechświat cały składa się z jednych i tychże samych ciał, jak to badania widmowe wykazały.

Wiemy więc tyle, że np. na Wenerze i na Marsie mogą być organizmy, lecz co do ich kształtów, co do ich sposobu życia, nie pozwolimy sobie robić żadnych przypuszczeń, bo nie mamy żadnych do tego podstaw naukowych, a fantazyowanie na ten temat, wyszukiwanie najrozmaitszych możliwości i prawdopodobieństw nie miałoby celu i byłoby tylko czczą gadaniną. Wybaczą więc nam czytelnicy żeśmy dając artykułowi tytuł: *Mieszkańcy innych światów*, nie wprowadzili ich w sposób Jules Verna, w otoczenie jakich istot nieznanych, jakich tajemniczych selenitów, lub innych w bujnej fantazyi powieściopisarzy powstać mogących stworzeń, lecz żeśmy tylko na podstawie nowszych badań wykazali możliwość życia ornicznego, a nawet jego konieczność w odpowiednich warunkach, i żeśmy wykazali że bliższe określenia mieszkańców innych światów jest obecnie tylko bezpodstawną gadaniną, rzucającą w mniej światłe warstwy ludności przesądy, które później z trudnością trzeba będzie wykorzeniać. A dla bujnej fantazyi ludzi myślących bliższe rozważanie powyższych pytań nasuwa mnóstwo innych, na które prawdopodobnie odpowiedzi mieć nigdy nie będą. Czyż np. nie mogłyby istnieć na planetach żyjące istoty oddychające zamiast powietrzem, dowolnymi gazami! Czy takie istoty muszą mieć jak my płuca do oddychania? Przecież mieszkańcy wód naszych oddychają powietrzem dopiero za pośrednictwem wody. Dlaczegóżby nie mogli istnieć na plamkach ludzie posiadający szósty zmysł dla zjawisk elektryczności, a siódmy dla zjawisk powinowactwa chemicznego, albo też tacy którym brak któregokolwiek z naszych zmysłów. Czyż ich ucho musi już wyżej od *c* na 8mej dodanej górnej odmawiać, swej służby, jak to czyni ucho nasze? A może też przy innym składzie atmosfery, słyszą oni szmery i dźwięki, o których my nie mamy pojęcia? Może ich oko jest tak zbudowane, że widzi promienie barwne sięgający po za czerwony i fioletowy kraniec naszego zwykłego widma słonecznego? Może przystępnym jest dla ich oka cały szereg barw dla nas zupełnie nieznanych? Dlaczegóżby nie mogły istnieć organizmy wytrzymujące dobrze 100 stopni zimna lub ciepła, albo też odwrotnie tak czułe na różnice temperatury, jak my na różnice tonów? Może...

Ale dość tych przypuszczeń. Jeśli nauka dziś zaszła tak daleko, że podobnie awanturnicze pytania stawiać sobie może, bez narażenia się na zarzut marzycielstwa, to jednak zadaniem naszem powinno być jak najoględniejsze przyjmowanie odpowiedzi, które mogą zaspokoić wrodzoną umysłowi naszemu skłonność do rozdzierania tajemniczych zasłon, ale które nie wytrzymałyby krytyki w obec prawdziwie pozytywnej metody.

Tydzień Warszawski.

V.

Ile razy przychodzi wiosna, tyle razy spodziewamy się wojny, a tu jak na złość zima nie myśli ustępować a wojna nie myśli się zjawić. Prawdę powiedziawszy tak nas już długo straszą wojną dzienniki, żeśmy się z nią oswoili jak gdyby już była, i jeżli, jak powiadają, za kilka dni wybuchnie, to nas już zbytecznie nie poruszy. Niechnoby jednak powiał wiatr przychylny, niechby podrażnił strunę drogich sercu uczuć... Boże jedyny, co by się to działo! Zawrzałoby u nas jak w wulkanie... ale tymczasem: sza, i baczność!

Jesteśmy cisi i pokornego serca, lada policyant robi z nami co chce, nie narzekamy nawet, wzdychamy tylko ciężko, jak przed burzą.

Wzdychamy i bawimy się idealnie. Tłumy cisną się na wystawę sztuk pięknych podziwiać „Sprzedaż amuletów“ Siemiradzkiego, słuchamy nieznanej nam dotąd operetki Moniuszki „Bettly“, czytamy Kuryer Warszawski i myślimy z p. Deryngiem o urządzeniu poobiednich przedstawień teatralnych, takich jakie macie już we Lwowie.

A propos Moniuszki. Operetka o której wspomniałem, poprzedziła wszystkie celniejsze prace mistrza, już bowiem przed dwudziestu pięciu laty w r. 1852 graną była w Wilnie, w teatrze amatorskim. I obecnie powtórzyli ją amatorowie, dzięki staraniom p. Rożnieckiego dyrektora orkiestry. Z artystów przyjmował udział tylko p. Horbowski, baryton; mimo to na tle umiejętnie wyuczonych młodych chórów naszego instytutu muzycznego, całość wyszła bardzo dobrze. Libretto tej dwuaktowej operetki (tož samo co w operze Adama „Chatka“) złożone z żywiołów życia wiejskiego, bardzo się nadawało do rodzimej lutni naszego pieśniarza, a chociaż widocznie nie przywiązywał on wielkiej wagi do tej swojej pracy, ważniejsze bowiem motywa użył powtórnie w późniejszych większych swoich utworach, to jednak znać i tu rękę mistrza nawet w pobieżnych drobnostkach.

Serya odczytów towarzystwa dobroczynności już się skończyła.

P. Plug przy niezbyt licznem audytorium, złożonem przeważnie z osób starszych, opowiedział życiorys Ignacego Chodźki, autora tak niegdyś lubionych „Obrazków Litewskich“, opowiedział dosyć pobieżnie i za mało krytycznie scharakteryzował jego prace. Ale trudno go czynić odpowiedzialnym za te braki, bo cenzura niemiłosiernie obeszła się z rękopismem. Jeszcze mniej słuchaczy ściągnął p. Grajnert swoją gawędą, a raczej reklamą na cześć Wojciecha Jastrzębowskiego b. profesora Instytutu rolniczego pod Warszawą. P. Grajnert jest redaktorem jedynego pisma ludowego p. n. „Zorza“, jest pisarzem najszlachetniejszych tendencyi, ale niepowinien się brać do krytyki literackiej a tem mniej pomysłów naukowych. Pan Jastrzębowskl jest sędziwym ogrodnikiem, człowiekiem, który ogromne dla kraju położył zasługi, już to ucząc praktycznie młodzież rolniczą, już też sadząc drzewa owocowe na wydmach piaszczystych, wreszcie krzewiąc zamiłowanie do postępowych prac gospodarskich za pomocą popularnych dzieł i broszur. Ale nie był to umysł ściśle naukowy a w pomysłach swoich zawarł tyle dziwactw i śmieszności, że wcale nie wyrządza mu przysługi, kto te jego prace dziś wywłóczy i jako coś osobliwego wysławia.

Nierównie więcej publiczności zciągnął p. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) znany humorysta i powieściopisarz, swoją nowellą, której po raz trzeci zmienił tytuł dając jej napis „W walce z życiem.“ Był to szkic wcale niehumorystyczny, owszem bardzo poważny, pełen ślicznych ustępów choć nieco mu ciasno było w ramach odczytu. Chorowite odrośle naszej arystokracyi walczą z życiem, zamiast iść z niem naprzód; walczą i giną — oto treść tego obrazka. Publiczność sądziła, że będzie śmiać się, a tymczasem kazano jej czuć i myśleć. Czy jednak ostra satyra obudzi rozwagę „w sercach, gdzie nie trwa myśl ani godziny“? To kwestya.

Szkaradne czasy! Ludzie chcą się śmiać a humoryści każą im myśleć!

P. Tarnowski jeszcze jest w modzie. Nasze piękne panie nie mogą zapomnieć pięknego hrabiego i ciągle jeszcze rozkupują jego fotografie w zakładzie p. Mieczkowskiego.

Weszło to tak dalece w zwyczaj, że usłużny kantorzysta nie pomija żadnej sposobności, ażeby każdej z przechodzących pań dodać do jej własnego konterfektu podobiznę pogromcy Pola i Goszczyńskiego.

— Pani zapewne życzyła sobie jeszcze mieć fotografią p. Tarnowskiego?

I to mówiąc rozrzuca stosy okazów nasycając niemi wzrok wrażliwej warszawianki. Co najmniej dwie fotografie idą do koperty a pan przedsiębiorca zaciera ręce. Doszło do tego, że pp. Karoli i Pusch pozazdrościli interesu p. Mieczkowskiemu i nie wiem czy sami uprosili, czy też p Tarnowski własnowolnie uszczęśliwił ich śladem swej powierzchowności podczas powtórnego pobytu w Warszawie.

Szczęśliwy Kraków! Może oglądać oryginał!

W tej chwili niebo się wyjaśnia a telegram donosi że wojna wybuchła — lecz wy tam wiecie więcej niż my tutaj. „Co to będzie?“ — Było źle, ale czy będzie lepiej?..

Piśmiennictwo polskie.

Frydryk hr. Skarbek: Dzieje Polski. część II — *Królestwo Polskie od epoki początku swego do rewolucyi Listopadowej. Poznań 1877 nakładem J. K. Żupańskiego str.* XVIII *i 314 8o.*

(*Dokończenie*)

W samej krytyce konstytucyi Królestwa, i w porównaniu jej z politycznym ustrojem Księstwa Warszawskiego, okazuje się hr. Skarbek stanowczym przeciwnikiem parlamentaryzmu. Zarzuca pierwszej, iż przyznała sejmowi „dwa niebezpieczne prawa“ a mianowicie prawo czynienia uwag nad raportem rady stanu, czyli krytykowania czynności rządowych, oraz prawo petycyi czyli zanoszenia próśb, inicyatywą projektów do praw stać się mogących, tudzież zażaleń i domagań się, najczęściej z wolą rządu niezgodnych; iż przez to „nastręczała posłom i depu-

towanym sposobność do odbywania popisów krasomówstwa, dogadzających miłości własnej, lub widokom stronnictw politycznych". A jednak bez prawa kontroli nad czynnościami rządu, tudzież wnoszenia petycyj, czemże byłaby wszelka konstytucya jeżeli nie blichtrem swobód politycznych, bez ich najwłaściwszej istoty?

Z tak mylnego wychodząc założenia, nie mógł autor jak tylko potępić wszelkie sejmowe i pozasejmowe objawy, niezgodne „z wolą rządu". Ofiarą tego niesprawiedliwego sądu pała przedewszystkiem opozycya „kaliska", na czele której stali bracia Niemojowscy. Już w opisie pierwszego sejmu (1818) gorszy się autor niezmiernie wystąpieniem Niemojowskiego, który podnosząc obowiązek poselski stania na straży konstytucyjnych praw, wskazał na ciężką odpowiedzialność, jakaby na sejm przez zaniedbanie obowiązku tego spaść musiała. W pięknych słowach, wypowiedzianych przy tej sposobności przez posła kaliskiego, upatruje nasz autor chęć przypodobania się tym „którzy żywili w sobie dawne nienawiści" pragnienie osiągnięcia „sławy trybunów ludu". Kiedy w r. 1819 opozycyjne artykuły „Orła Białego" i „Gazety Codziennej" spowodowały represyą ze strony rządu, posuniętą tak daleko, że drukarnię „Gazety" zapieczętowano, a autora jednego z zamieszczonych w niej artykułów aresztowano, kiedy rząd łamiąc konstytucyą, wydał w tymże roku dekret zaprowadzający cenzurę naprzód na dzienniki a następnie na wszelkie druki, kiedy samowola W. ks. Konstantego szydziła z wszelkich ustaw i konstytucyjnych swobód, targając się codziennie na poręczoną w konstytucyi wolność osobistą, rzecz naturalna, że reprezentacya narodu milczeć nie mogła. Można do czasu znosić wszelkie gwałty i milczeć tam, gdzie nie ma ciała powołanego do straży praw narodu. Ale gdzie reprezentacya taka istnieje, gdzie rządzeni przez nią biorą choćby pośredni udział w rządach, tam milczenie staje się współwiną, a zarazem początkiem upodlenia narodu. Z tej też zasady wychodziła ówczesna opozycya, i dla tego sejm r. 1820 musiał zająć stanowisko, które nań ściągnęło niechęć „króla" Aleksandra, a srogą krytykę hr. Skarbka. Wniosek Niemojowskiego o uczynienie ministra odpowiedzialnym za kontrasygnowanie dekretu zaprowadzającego cenzurę, uważa autor „Dziejów" jako „nierozważne" dzieło „zapalonych i nieoględnych", a odrzucenie jego jako akt rozsądku. A już zgoła przykrem jest, że pisarz tak zresztą poważny, w swej niechęci do opozycyi kaliskiej tak daleko się posuwa, iż postępowanie Niemojowskiego przypisuje czysto osobistym pobudkom. Twierdzi bowiem, że namiestnik Zajączek przyrzekłszy Wincentemu Niemojowskiemu posadę prezesa komisyi wojewódzkiej, a bratu jego Bonawenturze posadę prezesa trybunału, później oba te urzędy dał mężom swych siostrzenic, „a przez to obraził Niemojowskich i zamienił ich w osobistych nieprzyjaciół swoich, w szczególności zaś Wincentego w groźnego przywódzcę opozycyi i zaciętego przeciwnika rządu".

Opozycyjne stanowisko sejmu podniosło wysoko ducha publicznego w Królestwie, a patryoci widząc, iż cała konstytucyjna komedya zbliża się ku końcowi, i że rząd łamie jedne po drugiej z nadanych swobód, jęli w tajnych związkach nad sprawą ojczystą radzić. Autor nasz, konsekwentny w swych zapatrywaniach powiada: „Po sejmie r. 1820 okazało się dopiero, jak poniekąd *niebezpiecznemi* były dla kraju swobody reprezentacyjne, i że wpływ posłanników narodu na jego życie polityczne, gdzieindziej tyle użyteczny, mógł się stać źródłem nieszczęść i *demoralizacyi* u nas, dla tego, że nie było w kraju wzajemnej ufności i miłości między rządem a rządzonymi". To też surowo potępia hr. Skarbek wszelkie tajne związki, które w owym czasie tak licznie powstawały i tak się silnie krzewiły, samym tym rozrostem swoim świadcząc, iż były one naturalnym, koniecznym prawie wypływem ówczesnych stosunków. Powstawanie tych związków przypisuje autor po części „wpływowi zewnętrznemu *zachodniej zarazy*", która z tajnych związków niemieckich, francuskich i włoskich przeszła do nas, po części zaś wewnętrznym stosunkom kraju, dającym wiele powodu „do zawierzenia więcej ukrytej jak jawnej władzy i do podejrzywania zamiarów rządów nie narodowych". Uznawszy te wewnętrzne, w samych stosunkach kraju leżące pobudki, mimo to autor opisując przebieg związków owych nie szczędzi słów potępienia i szyderstwa.

W podobny też sposób zapatruje się na słynny sąd sejmowy z r. 1828, któremu, według brzmienia konstytucyi, musiano oddać sprawę spiskowców obwinionych o zbrodnię stanu, a który się skończył uwolnieniem ich od tej winy. Sąd złożony z senatorów polskich, mający wydać wyrok jako sąd przysięgły, nie mógł potępić i zbrodniarzami stanu uznać tych, którzy za cel sobie postawili „utrzymanie i odzyskanie narodowego bytu". Nie mógł tego uczynić bez zaparcia się tego, co jest artykułem wiary porozbiorowych pokoleń, bez zakwestyonowania prawności narodowych dążeń. Tak się na tę sprawę zapatrywała wówczas ogromna większość opinii publicznej w Polsce, a cześć powszechna, jaką oddano zmarłemu wkrótce po sądzie nieulęknionemu prezesowi jego Bielińskiemu, świadczyła wymownie, że wyrok sądu był wyrokiem sumienia Polaków. Hr. Skarbek uważa jednak, iż wyrok powinien był wypaść inaczej, że należało obwinionych *potępić*. Powiada, że gdyby była w kraju ufność między rządzonymi a rządem, „nie byłby sąd z niepodległych i sumiennych prawników złożony, tej sprawy tak osądził." A w innem miejscu zarzuca sędziom, „że nie było między nimi odwagi cywilnej, kiedy się dali wszyscy zagarnąć prądem opinii publicznej, jaka olśniła umysły marzeniem o potędze narodu przeciw rządowi podburzonego". „Sąd sejmowy był bez zaprzeczenia nieszczęśliwym wypadkiem dla rządu i dla kraju, dla tego, że miał bezkarność za skutek".

Po tych ustępach z Dziejów Królestwa nie zadziwi się czytelnik, gdy dodamy jeszcze, że autor ubolewa nad tem, iż obrzęd koronacyi Mikołaja, będącej „zawarciem między królem i narodem uroczystego przymierza", „odbył się bez udziału serca i wzajemnej ufności stron obudwóch", i że w zakończeniu swego dzieła nazywa powstanie listopadowe „przedsięwzięciem nieszczęsnem" a zarazem i niepotrzebnem „bo *stan kraju był dosyć pomyślnym* (!) a położenie Polaków nie było tak rozpaczliwe, aby zachodziła potrzeba ocalenia kraju od grożącej klęski, a ludności jego od wynarodowienia, lub nieznośnej niewoli". Tak jak gdyby możliwą była „znośna" niewola! Dzisiaj, kiedy już historya najoczywistszymi wykazała dowodami, że powstanie listopadowe upadło nie brakiem siły, ale nieudolnem zupełnie kierownictwem, zaniedbującem najlepszą porę do złamania nieprzyjaciela, kiedy niewątpliwą jest rzeczą, że rząd szczególniej od wstąpienia na tron Mikołaja zmierzał jawnie do odjęcia Królestwu narodowych i politycznych swobód, czemu jedynie zapobiedz mogło dobrze pokierowane powstanie, oparte na tak dzielnej armii, jaką była nasza ówczesna armia; trzeba stronniczego zaślepienia, aby twórcom powstania listopadowego zarzucić lekkomyślne narażenie narodowej sprawy.

To też całe dzieło hr. Skarbka poucza chyba o tem, jak się wówczas na stan sprawy narodowej i jej kierunek zapatrywali ci, którzy w czasie konstytucyjnego Królestwa doradzali bezwzględnej wobec rządu uległości i potulnego znoszenia wszelkich jego nadużyć, a po wybuchu powstania zorganizowani w partyą kontrrewolucyjną, sparaliżowali usiłowania narodu i nieudolnością swą złamali dzielną armię, wytrącili broń z ręki zwycięzców z pod Grochowa i Wawru. Jako charakterystyka zapatrywań tego stronnictwa na przebieg spraw Królestwa, może dzieło hr. Skarbka dla przyszłego historyka dziejów porozbiorowych mieć niepoślednią wartość.

T. Romanowicz.

Ze świata muzycznego.

„Lohengrin" na scenie lwowskiej.

(S.) Jest temu blisko lat tysiąc. Pod wiekowym dębem u wybrzeży Skaldy złożono wielkie roki. Tłumy wassalów brabanckich, saksońskich, zaległy pole sądów w dolinie Antwerpii. Król Henryk I. przewodniczy im. Graf Frydryk z ziemi brabanckiej wnosi skargę: „Książę mój pan — rzecze on — powierzył mi u skonu dwoje dziatek: Gottfryda i Elsę; chłopięcia Elsa wywiodła w ciemny bór, i zniknął po nim ślad; drżenie i bladość zdradziły bratobójczynię; wyrzekłem się mych praw do ręki okrutnicy, chociaż mi rodzic jej te prawa dał; pojąłem córę dawnych Brabantu władców, Ortrudę; dziś obwiniam Elsę o bratobójstwo, a ziemi tej słusznie domagam się." Wezwana przed sąd Elsa, uderza wszystkich obliczem świętej niewinności; na okropne pytania nie zwraca nawet uwagi; jedyną jej odpowiedzią to bolesne westchnienie: „O biedny mój bracie!" A potem, zatopiona w sobie, przyzywa boskiego rycerza na zbawcę, którego dotąd tylko we snach widziała. Graf Frydryk powiada, że ona marzy o gachu, swym współwinowajcy. Suzeren orzekł, że taką sprawę tylko rozstrzygnąć może sąd boży. Graf oświadcza się gotów, ale na potrójne nawet wzywania herolda, nikt nie chce stanąć w obronie dziewicy. Już wszystko zda się stracone, gdy nagle po falach Skaldy zajeżdża łódka ciągniona przez łabędzia, a w niej rycerz-zbawca, ten sam, o którym marzyła dziewica. Dla wszystkich obecnych zesłaniec to boży. Nikt nie wątpi że on zwycięży. Elsa przed nim na kolanach, oddając mu się cała, nawet za niewolnicę. Tylko graf Frydryk i jego żona Ortruda jak gdyby piorunem rażeni. Cudowny rycerz wita króla i zgromadzonych, przyjmuje walkę, oświadcza swą miłość dla Elsy i jej oświadczeń z uniesieniem słucha, ale bliskiemu swemu już z nią połączeniu stawia po dwakroć z przyciskiem warunek, że go nigdy nie spyta kto on lub jakie jego miano. Elsa po dwakroć solennie mu to przyrzeka. Wnet następuje walka; powalonemu o ziemię Frydrykowi cudowny rycerz darowuje życie, aby dobremi czyny swą zbrodnię naprawił. Wreszcie jako potwarca, graf Frydryk zostaje zasądzony na bannicyę i wyklęty.

Już noc ciemna zapadła, a w zamku jeszcze wesele po dniu tak szczęśliwym dla córy książąt Brabantu. Tylko na dworze, skryci w czarnej pomroce jak dwaj potępieńce, tulają się dwa cienie. To Frydryk i Ortruda. Podła potworo, oto gdzie mnie zaprowadziły twe zbrodnie! — woła na różne tony znękany bannita. Głupi tchórzu! dla czego się źle biłeś? — odpowiada mu stale Ortruda. Ta wreszcie w lot znajduje na wszystko radę. Ów rycerz o białym łabędziu, to czarownik. — Tak, to czarownik! — powtarza z pełną wiarą Frydryk pocieszony. — On

ma prowadzić lud i panów na wojnę, a sam jest winnym zbrodni czarów.— Tak jest — woła Frydryk.— Trzeba więc to naszym panom ogłosić, a co do owego rycerza, to gdy będzie potrzeba, użyć nawet gwałtu, rozumiesz? Graf Frydryk słucha z poddaniem się. Nareszcie w Elsę należy wszczepić niewiarę i żądzę dowiedzenia się absolutnie o jego nazwisku. To ostatnie ja biorę na siebie; reszta twoim jest obowiązkiem. — Oboje sprawili się wedle swych zamiarów.

W czułem sercu Elsy łatwo Ortruda pobudziła litość i przebaczenie, a w zamian za to zaszczepiła weń jad nieufności; zaś graf Frydryk oprócz zbuntowania możnych przeciwko rycerzowi o białym łabędziu, napadł nań z czterema innymi grafami, aby go w nocy skrycie zamordować w ramionach Elsy. Skrytobójca padł jednak od pierwszego cięcia rycerza; a jego wspólnicy na kolanach błagali o łaskę; natomiast trucizna nieufności i ciekawości wszczepiona Elsie przez Ortrudę wydała więcej zabójcze skutki. W miejsce rozkoszy pierwszych chwil Hymenu, małżonek Elsy ujrzał ją jak gdyby opętaną przez żądzę dowiedzenia się tajemnicy jego nazwiska i rodu. Daremnie starał się ją odjąć tej myśli prośbami, błaganiem, okazywaniem jej najwyższej słodyczy, rozpaczą swą nawet — wszystko nic nie pomogło. Elsa wprawdzie, o ile tylko pozostało jej woli, poddaje mu się w zupełności, ale to poddanie się jest niejako automatyczne, senne; osobistość zaś cała Elsy trawiona jest widocznie i to mimo jej woli, ową nieszczęsną żądzą, która nią władnie oniemal aż do utraty zmysłów. Tu punkt najwyższy tego na poły fatalnego dramatu. Małżonek Elsy, który miał dosyć odwagi i siły, aby z pogardą odtrącić wszelkie tłómaczenie się co do swego rodu i nazwiska, wobec rzucanych nań najzjadliwszych podejrzeń przez Frydryka i Ortrudę, i to na stopniach świątyni i w przytomności całego ludu, najwyższych dostojników i samego króla, teraz jednakże zostaje złamany. Podejmuje się wyjawić tajemnicę, ale nie samej - tylko Elsie, jak ona go o to błagała, lecz wszystkim publicznie. Przed zgromadzonymi więc dostojnikami, ludem i wojownikami, których, już jako nowy władca Brabantu i lennik króla Henryka, miał prowadzić do boju, jak również wobec swego suzerena i Elsy oznajmia on, że jest wysłańcem nadziemskich sił, aby cnocie pomoc nieść; że mu nie wolno wyjawiać swego pochodzenia ni nazwiska pod karą natychmiastowego powrotu do świątyni w nadmorskim zamku Monsalvatu; że jego małżonka, która mu przysięgła nigdy o to nie pytać, przysięgę tę złamała, on więc jest zmuszony zdradzić swą tajemnicę: ojcem mu władca Pomorza, Parcival, on zaś sam królewiczem imieniem Lohengrin. Błagania króla i wszystkich by z nimi pozostał, daremne. Tajemniczy łabędź nadpływa by go unieść z sobą. Lohengrin żegna wszystkich, żegna się boleśnie ze swą ukochaną Elsą, która w coraz większą oniemiałość i bezprzytomność wpada. Ortruda tryumfuje po szatańsku, choć obok niej, na marach, zwłoki zabitego jej męża. W ostatniej chwili tajemniczy łabędź zapada się w falę, z której cudownym sposobem Lohengrin wydobywa młodego Gottfryda, i przedstawia go zgromadzonym jako prawego następcę książąt Brabantu. Młode to chłopię rzuca się w objęcia niemej z bólu siostry. Radość dwojga rodzeństwa zbyt krótka, bo oto łódź z Lohengrinem oddala się od brzegu, ciągniona teraz przez białą gołębicę z Monsalvatu. Elsa śledzi wzrokiem za odjeżdżającym, chwilę jednę, drugą, słania się i pada nieżywa.

Oto w jaki sposób Ryszard Wagner znajomą dosyć staro-niemiecką sagę o Rycerzu z Łabędziem sam ułożył. Naturalnie, że tu podajemy tylko główną treść wagnerowskiego libretta. Że ono nie zawsze się zgadza z oryginalną sagą, że ono jeszcze zawiera mnogie t. z. *dii ex machina*, o to zapewne nikomu chodzić nie może: największa część oper dotychczas temi pomocami nie gardzi. Przyjęto bowiem, że w operze główną rzeczą libretta są przedewszystkiem pojedyńcze sytuacye, najkorzystniej adaptujące się do tłómaczenia ich tonami; otóż jak widzimy saga o Lohengrinie, jest w takie sytuacye bardzo nawet bogatą. Przytoczyliśmy zaś ową treść dla tego, że z pięciu głównych partyi wokalnych tylko jedyna partya Lohengrina śpiewaną jest u nas po polsku; że rzadko dosyć publiczność czytuje libretto, szczególniej obejmujące przeszło 100 stronnic, jak to właśnie o które tu chodzi, a w końcu, że do dobrego ocenienia „Lohengrina“ jest rzeczą zupełnie konieczną znać treść jego słów.

Przejdźmy do muzyki. Jeżeli słusznie określają operę jako *dramat liryczny* albo *muzyczny*, to definicyi tej z pewnością najdokładniej dotychczas odpowiadają opery Ryszarda Wagnera. Któż nie wie jak się tworzyła opera? Gdzieżeśmy od owych czasów, w których sobie wyobrażano, że wleczenie różnych tonów przy deklamacyi miało przypominać niby muzykę starożytnych Greków! — Gdy prowadzono monotonne recitativa bez ujmowania ich w takty; gdy deklamowem *stanze* podpierając każdy zwrot głosu mówiącego osobnym tonem na basetli (jak np. w *Eurydyce* Periego i Cassiniego, 1600); gdy następnie przez dodanie do takiej muzyki odpowiedniego *ritornello* zaczęto wytwarzać aryę, a tą zdobyczą okrasiwszy jaką nieudałą idyllę lub quasi, sądzono, że dokazało się wielkich rzeczy! To też z uciechy stawiano już każdą aryę nie na końcu, ale na samym początku pojedynczych scen. Wreszcie wszystko co było śpiewem, powinno według Jourdena być przedewszystkiem *pasterskiem*, bo, jak twierdził ten maëstro, „jest rzeczą przeciwną naturze, ażeby książęta lub mieszczanie głosili śpiewem swe uczucia.“ Wreszcie niektóre, nawet świetne umysły podzielały nieco podobne chociaż daleko logiczniej sformułowane zdania. Przedewszystkiem zaś nie chciano się zgodzić, aby jaka sztuka od początku do końca mogła być śpiewaną. „Bo czyż można sobie wyobrazić, pisze Saint-Evremond, żeby jaki pan dawał swemu słudze polecenia śpiewając, albo żeby się melodyjnie zabijano szpadą lub maczugą w walce?“ (*Lettre au duc de Buckingham, Sur les Opéras.*) A jednakże mimo to już Rameau w 1733 r. idąc za tem, co wówczas nazywano *pięknem naturalnem*, zaczął kreować dramaty muzyczne i to jeszcze w tym sensie, że główną wagę pod względem wdzięku i energii nie kładł w melodyi, ale przedewszystkiem w harmonii; właściwą zaś operę z jej nowoczesną rozmaitością układu w ogóle, zaczęli już tworzyć Carassimi, Scarlati, Pergolese i Glück. Ten ostatni szczególniej kładł także wielką, niekiedy nawet główną wagę na harmonię całości. Jednakże niewielka jeszcze, względnie do późniejszych mistrzów, twórczość melodyjna, a z drugiej strony za słabe jeszcze początki w giętkiem władaniu całością, nie mogły się zbyt rychło przyjąć w publiczności. Nareszcie kolosalne geniusze późniejszych, począwszy już od Mozarta, znów nieco inaczej operę pojęły, a biorąc w ogólności, tak szkołę niemiecką jak włoską, to zdaje nam się, że ją pojęły najzdrowiej. Zapewne, że od *Fidelio* do *Ernaniego* znajdzie się ogromny dystans, ale mimo to, nie będzie tam różnicy, że się tak wyrazimy, właściwie gatunkowej. Zostawiając tu na boku różnice natury uczuć i sposobu ich wyrażania u Niemców a u Włochów, to jeźli szkoła niemiecka kładła więcej nacisku na harmonię, a szkoła włoska na melodyę, niemniej przeto opery tak niemieckie jak włoskie są utworami jednakowemi pod względem specyficznym. Mówimy tu, rzecz prosta, tylko o właściwej operze, pełnej.

Dopiero w naszych czasach, Ryszard Wagner, geniusz śmiały, rzucił się do reformy po opuszczonych śladach Glücka w podobnymże kierunku, a nawet poszedł znacznie dalej. Jemu nie wystarcza dziedzina przyznana dla harmonii nawet w *Don Juanie* i w beethovenowskim *Fidelio:* on chce wszystko prowadzić harmonijną massą, całością. Jemu nie dosyć do tłumaczenia tonami tych sytuacyi, tych myśli, tych uczuć, jakie dotychczas uznawano jedynie za odpowiednie do tego: on chce interpretować muzyką wszystko bez wyjątku; ztąd też potworzył nam całe epopee muzyczne wraz z ich działami opisowości według Niebelungów, a interpretacyę tę powierza często samej tylko orkiestrze. Dla niego niedostatecznem żeby pewien określony ogół tonów malował ogólną treść jakiego uczucia lub myśli, po temu ramy choćby najrozleglejszej kawatyny wydają mu się za ciasne: on chce żeby o niemal każdy osobny ton odpowiadał ściśle treści danego uczucia, danej myśli; żeby orkiestra była oniemal dokładnym retorem. Z tej też zasady absolutnej łączności wypadło, że w muzyce Wagnera owa treść bierze górę nad tonem, i że tym sposobem zwykle łamie zapory form określonych, a przyjmowanych dotąd pospolicie dla działu tonów w operze. To też gdy akcya ma się przedłużać lub nieznacznie zmieniać, Wagner o ramy form muzycznych nie pyta, ale je poddaje najzupełniej akcyi. I ztąd to wypływa, że słuchając niezmiernie długich aktów, jak np. w „Lohengrinie,“ nie dostrzegamy prawie żadnych określonych w muzyce poszczególnych granic, żadnej przerwy, a porwani tem połączeniem tonów z treścią myśli już od pierwszego taktu, mamy zupełnie zaabsorbowaną uwagę aż do samego końca. Widoczna więc, że aby się nigdzie nie znużyć, potrzeba koniecznie znać treść ową, inaczej bowiem sama tylko muzyka, zbyt słabym często drogmanem nam będzie.

Co do pierwszej z owych zasad, Wagner idzie tak daleko, że u niego orkiestra, chóry i pojedyńcze głosy stanowią najzupełniejszą całość; rzecby można, że tam nawet, gdzie on używa solowych głosów, to tylko je traktuje jako zwykłe instrumenta, jakie widzi za potrzebne do owej całości, a których w orkiestrze nie znajduje. Ztąd także u niego każdy nieomal ton jest tuż zaraz wspierany odnośnym akkordem. To się wydaje nieraz zbytecznem, to utrudnia ogromnie egzekucyę, jednakże to grzechem nie jest, a w każdym razie wynikło ztąd dla muzyki dzisiejszej w ogóle więcej dobrego niż złego. Natomiast co do dwóch drugich zasad, te napotykają ciągle jeszcze najwięcej przeciwników, i zdaje nam się, że słusznie. Owa bowiem zupełna łączność tonów z treścią myśli, a w której nawet niekiedy chciano widzieć supremacyą muzyki, obraca się w gruncie rzeczy przeciw tejże i nieraz czyni muzykę niewolnicą. Wówczas zaś uwaga słuchacza się nuży, a rozpłynienie się form muzyki na korzyść biegu akcyi wydaje się nienaturalnem. Gorzej zaś jeszcze ma się z zasadą tłumaczenia wszelkich myśli tonami pełnej harmonii, bo jeżeli za liczne poziewania jakie w nas powoduje słuchanie epicznych utworów *Cyklu Niebelungów* (np. *Götterdämmerung*) Wagner nas już w samem owem dziele wynagradza mistrzowską instrumentacyą, a często genialnemi pomysły i wspaniałością stylu i formy, to dla wszelkiego innego muzyka o mniejszych rozmiarach byłoby to po prostu niemożliwością i torturą dla uszu słuchaczy. Widzieliśmy już czasem tego próbki, np. gdy pewien Rossyanin, niejaki p. Łazarew, chciał uraczyć Warszawian swoją koncepcyą orkiestrową, mającą ze szczegółami wypowiadać jak i co się to dziać będzie na *Sądzie Ostatecznym* — bo nawet taki był tytuł tej koncepcyi pretensyonalnej a śmiesznej.

Na szczęście spora liczba utworów Wagnera jest daleko więcej warta aniżeli dwie te ostatnie zasady, którym one do pewnego stopnia istotnie hołdują. Majestatyczne, zawsze zaś wysoko szlachetne, a licznie rozsiane melodye, dramatyczność myśli, wspaniałość stylu, mistrzowska instrumentacya i takież władanie formą ogólną, począwszy od rozhukanych gromów, aż do najwyższej delikatności seraficznych pieni, oto cechy ogólne tych jego utworów, a między którymi jedno z najpierwszych miejsc zajmuje dotąd „Lohengrin.“

Olbrzymiej piękności to dzieło zostało u nas po raz pierwszy przedstawionem w zeszłą sobotę, 21go b. m. Ze względu ogromnych trudności w jego egzekucyi, byliśmy w wielkiej obawie, jak ono tu pójdzie. Otóż z wielką przyjemnością konstatujemy, że jak na tak drobne siły jakiemi nasza opera rozporządza, przedstawienie to wypadło po nad wszelkie nasze oczekiwania. Widzieliśmy również bardzo radzi, że teatr był pełny. Że jednak nam powiadają, iż personal artystów, mimo rzetelnych poprzednich studyów, nie czuł się jeszcze dostatecznie przygotowany, więc odkładamy szczegółowe sprawozdanie do dalszych przedstawień. Tymczasem prosimy szan. Dyrekcyi o danie nam „Marszu Ślubnego“ w 3cim akcie nie-tylko w imaginacyi, lecz w rzeczywistości. O kostiumy i wystawność mniejsza. Szanownego dyrektora orkiestry prosimy o radykalną reformę muzyki odzywającej się za sceną, o zmuszenie ogółu do lepszego studyowania zgody instrumentów, do nieprzesadzania siły, choćby już przez wzgląd na słaby organ głosu panny Marco, a co tem więcej grzeszniejsze, że znów w Introdukcyi trzeciego aktu bombardony wychodzą za słabo.

BIBLIOGRAFIA

polska.

— Kraszewski J. I. Żeliga, powieść w 2 częściach. 8ka str. 408. Lwów 1877 r. 2·40.

— Marrené Walerya. Przeciw wodzie, powieść. 8ka str. 201. Warszawa 1876. 1·25

— Pawiński Adolf. Źródła dziejowe T. III. Stefan Batory pod Gdańskiem w 1576—7 r. Listy, uniwersalty, instrakcye. Poprzedzone szkicem historycznym. 8ka str. 306 i LXXII. Warszawa 1877. 5·50.

— Rzewuski Henryk. Zamek krakowski. Romans historyczny z 16 wieku. 8ka str. 424. Warszawa 1877. 2·50.

— Rzewuski Henryk. Adam Szmigielski, starosta gnieźnieński, powieść historyczna. 8ka. str. 340. Warszawa. 1877. 2·50

— Sewer, (Biblioteka teatralna N. 2.) Pojedynek szlachetnych. Komedya w 4 aktach, oryginalnie prozą napisana 8ka str. 125. Warszawa. 1876. 50.

Nagrodzona na konkursie dramatycznym warszawskim w roku 1876.

— Schwartz M. Z. Ellen albo jeden rok. Przekładu Szwedzkiego przez I. M. 16ka str. 208. Warszawa 1877. 85.

— Dr. Stella Sawicki Jan. Ksenofont polski. 16ka str. 95 Lwów 1877. 40.

Opis sławnego odwrotu jen Henryka Dębińskiego w 1831 r.

— Strzelecki Antoni. Gospodarstwo pastewne jako środek podniesienia rolnictwa krajowego. Tom II (Cz. III i IV) 8ka str. 410 i 167. Warszawa 1876. 4·45.

Rośliny okopowe: Barszcz syberyjski. Bobik koński. Brukiew. Bulwa. Buraki. Dynia. Ignam chiński. Kapusta. Kukurydza. Marchew. Pasternak Rzepa. Ziemniaki v. kartofle. Rys historyczny systematów rolniczych. Przyczyny upadku naszego rolnictwa. Urządzenie gospodarstwa.

— Dzieje Karola Szajnochy. Tom V. Jadwiga i Jagiełło 8ka str. 352. Warszawa 1877 każdy tom 3 zlr.

Tom ten nie zawiera całości. Początek dzieła Jadwiga i Jagiełło w tomie poprzednim, dokończenie nastąpi w tomie następnym.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszło zbiorowe wydanie dzieł Bohdana Zaleskiego w czterech tomach.

— Dr. Piotr Chmielowski napisał obszerne studyum pt. „Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce w XVI wieku,“ w którem rozbiera poglądy Glabera, Maryckiego, Modrzewskiego, Herbesta, Lorichiusa i Gliczнera. Praca ta drukowaną była w *Bluszczu*.

— We Lwowie utworzył się komitet celem wydania zbiorowego dzieła pt. „Polska na Syberyi.“ W skład redakcyi wchodzą pp.: Agaton Giller, Mikołaj Epsztein, Feliks Lewicki, Zygmunt Odrzywolski i Karol Pawłowski. Rękopisma nadsyłać należy na ręce p. Lewickiego: Łyczakowska, 21. Warunki prenumeraty mają być później oznaczone.

— Drukowane w *Tygodniu* „Listy do przyszłej narzeczonej“ Juliana Mohorta, wyszły w osobnej odbitce i sprzedają się w księgarniach po 60 ct.

— Nakładem Kaufmana w Warszawie wyjdzie wkrótce kompletny zbiór poezyi Mirona.

— Petersburgskij Listok umieszcza obszerne sprawozdanie o obrazie p. Jasińskiego, Polaka, do którego to obrazu jak mówi recenzent, artysta, zaczerpnął treść z poematu Puszkina, p. t. „Bracia rozbójnicy“. Obraz przedstawia dwóch rozbójników skutych łańcuchami w więzieniu, z których jeden w sennem marzeniu widzi niektóre ustępy z swej przeszłości, pełnej zbrodni i przestępstw wszelkiego rodzaju. Recenzent w ogólności bardzo pochlebnie się wyraża o całości, mówiąc, że postać śpiącego rozbójnika jest oddana mistrzowsko. Obraz ten ma wkrótce ukazać się na wystawie warszawskiej.

— Szczególniejszą uwagę publiczności paryskiej, zwróciła na siebie nasza rodaczka Amelja Majdrowiczówna która już przed trzema laty, jako pianistka, odznaczała się na koncertach, dawanych w sali Herz'a. Krytycy artystyczni, a między nimi znany Paul de Saint-Victor w *Moniteur Universel*, odzywają się z wielkiemi pochwałami dla panny Majdrowiczówny.

Odczyty.

Na dochód Czytelni Akademickiej dr. Julian Ochorowicz, docent Uniwersytetu, wypowie w sali ratuszowej dwa odczyty publiczne „O twórczości poetyckiej“ w poniedziałek i we środę o godz. 7mej wieczorem.

Nauki

— W tych dniach opuściła prasę w Warszawie broszura p. n. „Krzew winny, jego hodowla w gruncie i w budynkach“ przez Edmunda Jankowskiego, kandydata nauk przyrodniczych, starszego ogrodnika ogrodu pomologicznego w Warszawie.

— Uczony Włoch Correnti zajmujący się przekładem poezyi Mickiewicza, pracuje oddawna nad wielkiem dziełem „Dzieje Polski“, w którym to celu zwiedzić zamierza Kraków i Lwów.

— Dyrektor archiwum weneckiego, Cecceti, przesłał do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu prośbę, o udzielenie wiadomości, dotyczących archiwów polskich celem pomnożenia archiwum weneckiego, wielce bogatego w zbiory rękopiśmienne do dziejów naszych.

— Zygmunt hrabia Rzyszczewski, wychowaniec Królewskiego Instytutu w Medyolanie, obecnie oficer artyleryi włoskiej i inżynier-technik, wydał przed niedawnym czasem w Rzymie, cenne studyum ekonomiczne o przemyśle cukrowniczym krajowym (włoskim). Praca ta na bliższą zasługuje uwagę z tego względu, iż autor pomieścił w niej wiele wiadomości i danych, tyczących się przemysłu cukrowniczego w Królestwie Polskiem. Studyum swoje dzieli hr. Rzyszczewski na trzy części. W pierwszej opisuje czynności rolnicze przy uprawie buraków i zastosowania ich w przemyśle — procesa i systemy fabrykacyi cukru. Drugą część poświęca analizie ceny kosztów uprawy buraków i samej fabrykacyi w porównaniu z zagranicą (Francya, Belgia, Rossya i Królestwo Polskie). W trzeciej przedstawia warunki umożliwiające rozwój przemysłu cukrowniczego we Włoszech. Na końcu dzieła pomieszczony jest wzór kontraktu o uprawę buraków.

Wyprawy naukowe.

— *Budap. Nap.* dowiaduje się, że hr. Bela Szecheni własnym kosztem podjąć zamierza wyprawę naukową do centralnej Azyi. W jesieni rb. wyprawa, zaopatrzona w najlepsze przyrządy, wyruszy w drogę. Towarzyszyć będą hrabiemu Szechenyemu dwaj młodzi uczeni węgierscy. Jeden z nich jest zastępcą kustosza oddziału mineralów narodowego muzeum w Peszcie p. Ludwik Loczy. Głównem zadaniem wyprawy będzie zbadanie pod względem fauny, flory, oraz geologicznym mało dotąd znanych okolic Azyi środkowej, zwiedzanej obecnie także, jak wiadomo, przez pułkownika Przewalskiego. Wyprawa dla spełnienia swego programu potrzebować będzie dwóch lat i funduszu przeszło 10.000 zlr.

Uniwersytety.

— Uniwersytet kijowski, jak pisze gazeta *Kijewlanin*, z każdym rokiem ma mniejszą liczbę słuchaczów. I tak, według sprawozdania wydanego w roku bieżącym, uniwersytet w roku 1875 liczył studentów 767, w roku 1876 732, a więc mniej o 35 od roku przeszłego, nakoniec w dniu 1-szym stycznia 1877 roku zapisało się zaledwie 666 młodych ludzi. Zdawałoby się, że przyczyną takiego corocznego zmniejszania się liczby uczących, jest gasnące w ogóle poczucie nauki, tymczasem rzeczy inaczej się mają. Najmniej studentów bowiem zapisuje się na wydziały, przedstawiające po ukończeniu praktyczne jakieś korzyści jak np. wydział prawny i medyczny, za to wydział filologiczno-historyczny i matematyczny przedstawiają daleko korzystniejszy stosunek.

Teatra.

— W zeszłym tygodniu przedstawiono w Paryżu po raz pierwszy operę Masseta pt. „Król Lahory,“ w której główną rolę umyślnie dla niej napisaną grała panna Reszke, warszawianka.

— Do teatru lwowskiego zostali zaangażowani pan i pani Wołoszko, śpiewacy sceny lubelskiej.

— Komedya Zofii Mellerowej „Falszywe Blaski,“ wyszła z druku w osobnej odbitce z *Gońca Teatralnego*, który, mówiąc nawiasem, nieprawnie przedrukowuje całe artykuły z gazet lwowskich.

— Nowy świetny balet przygotowuje teatr warszawski. Ma on nosić tytuł: „Kuglarka,“ ułożony został przez p. Borri i będzie niewątpliwie nowym tryumfem choreograficznym dla sławnej tancerki warszawskiej panny Cholewickiej.

— P. Ryttel, baryton, wystąpi wkrótce na scenie warszawskiej w „Traviacie,“ a następnie w „Fauście“ i „Lindzie.“ Tamże występowała po raz pierwszy panna Szczepkowska w roli Azuceny w „Trubadurze“ z wielkiem powodzeniem.

Stowarzyszenia.

— Towarzystwo kredytowe miejskie zawiązane we Lwowie przed dwoma laty obudziło tak wielkie w kraju zajęcie, że się do niego zapisało około 16 tysięcy członków, wszelako przez nieoględną gospodarkę założycieli towarzystwa i wywołanej tem ostrej krytyki dziennikarstwa zostało w samym zawiązku zdyskredytowanem i straciło pularność Nowa dyrekcya dołożyła wszelkich starań aby podtrzymać towarzystwo, ale nie mogła obudzić zachwianego zaufania, które w tem się głównie objawiło, że członkowie powstrzymali się z wnoszeniem wkładek na udziały. Dyrekcya chcąc ratować towarzystwo zwołała na dzień 29 kwietnia walne zgromadzenie, któremu przedłoży sprawozdanie ze stanu interesów towarzystwa i ma nadzieję że tem rozchwieje wszelkie fałszywe pogłoski rozsiewane o towarzystwie przez niechętnych i wykaże, że pomimo bardzo złych czasów i pomimo klęsk jakie towarzystwo spotkały w samym zawiązku, ma ono tyle sił żywotnych w sobie i taką perspektywę rozwoju, że skoro tylko członkowie zaczną wypełniać swoje zobowiązania, najlepsze powodzenie towarzystwa jest zapewnionem. I rzeczywiście, inaczej być nie może. Każde towarzystwo zaliczkowe na wzajemnej poręce członków oparte przy umiejętnej dyrekcyi z samej natury rzeczy ma zapewnione powodzenie, o ileż korzystniej przedstawia się towarzystwo liczące w samych początkach tak znaczną ilość członków, a między tymi przeważną większość posiadających realności i t. p. To też mamy najlepszą otuchę, że walne zgromadzenie da nowy impuls towarzystwu i rozpocznie ono swoję korzystną dla kraju działalność na szersze rozmiary.

Zakłady dla kobiet.

— Istniejący w Warszawie Zakład rękodzielniczy dla kobiet otwiera *szkołę dla kucharek*. Ciekawe szczegóły o podobnego rodzaju zakładzie w Nowym Yorku, podaje sprawozdawca „New-York-Heralda“. W sali odbywała się lekcya przyrządzania omletów; grono słuchaczek składało się z 15 czy 16 kobiet, które zamiast używać w tej porze przechadzki w Broadway, na wzór elegantek miejskich, wolały nauczyć się czegoś pożytecznego. Wykład trwał $2^1/_2$ godzin. Sala, w której odbywała się lekcya, odpowiadała najzupełniej swemu celowi. Uczennice siedziały przy długim stole, i zapisywały ołówkiem to, co im dyktował nauczyciel, rozumie się także płci żeńskiej. Nauczycielem tym, była panna o twarzy wesołej i świeżej; dla należytej jednak powagi włożyła okulary, jak przystało na profesora, któremu długie studya wzrok osłabiły. Jednocześnie pomocnik nauczyciela, wykonywał doświadczenia podług skazówek teoretycznych, wygłoszonych przez mistrza. Niekiedy słuchaczki zabierały głos, prosząc o bliższe objaśnienie pewnych szczegółów, co też mistrz niezwłocznie starał się uskutecznić. Pomiędzy obecnymi znajdował się także jeden mężczyzna, żądny wiedzy, zkądkolwiek ona pochodzi. Szkoła kucharska w Londynie, odznacza się tem, że jej przewodniczącą jest wielka dama; w Wiedniu, również panie z wielkiego świata stoją na czele kuchni ludowych (Volksküchen), czyli tak zwanych w Warszawie kuchni tanich. W Nowym Yorku dyrektorka szkoły kucharskiej, jakkolwiek prosta mieszczanka czuje całą ważność swego stanowiska, i twierdzi z najgłębszem przekonaniem, że kunszt kucharski jest sztuką tak samo, jak rzeźbiarstwo lub malarstwo. Oczywiście, przejęła się ona żywo zasadami dra Granville, znanego lekarza angielskiego, który utrzymywał, że nadszedł czas, aby po tylu rozmaitych systematach pedagogicznych, zwrócono wreszcie większą uwagę na „wychowanie żołądka“.

— W Londynie otworzony został nowy szpital dla kobiet, w którym leczeniem, nadzorem i służbą zajmują się wyłącznie kobiety.

ROZMAITOŚCI.

— W zeszłym tygodniu odbyła się w zamku windsorskim ceremonia przypominająca czasy feudalne. Sir Albert Woods, główny herold (garter principal) orderu podwiązki, udał się do kaplicy królewskiej św. Jerzego dla poczynienia w stallach kawalerów pewnych zmian, które spowodował zgon ostatniego sułtana tureckiego. Sir Albert Woods i członkowie heroldyi orderu podwiązki zdjęli po zwykłych formalnościach herby, sztandar i insygnia Murada, znajdujące się po stronie zastrzeżonej dla

rodzin książęcych. Wiadomo, że order podwiązki utworzony w r. 1350 przez Edwarda III, liczy 25 kawalerów z królestw zjednoczonych i pewną liczbę osób zagranicznych. Order ten wyobraża podwiązkę z ciemno błękitnego aksamitu, którą się opasuje lewe kolano, i na której wyhaftowane jest złotemi literami: Honni soit, qui mal y pense, oraz złoty medalion zwany św. Jerzego. Królowa nosi podwiązkę na lewem ramieniu. Powstanie tego orderu następna tłumaczy okoliczność. Kiedy król Edward III, tańcował na balu z sławną w owym czasie z piękności lady Salisbury, opadła ją w tańcu podwiązka, co wywołało między niechętnymi jej szepty i szydercze uśmiechy, wtedy to król wyrzekł owe słowa, które stanowią godło orderu i nazajutrz zaraz order ten utworzył.

— W r. 1875, pisze „Fanfula", odbył się w Palermie kongres uczonych. Obecnymi byli właśnie w tem mieście książę Humbert, kilku ministrów, wszyscy włoscy i wielu zagranicznych uczonych, kiedy dowódcy karabinierów doniesiono, że się w domu deputowanego Toriny ukrywa słynny bandyta Leone, na którego głowę nałożono cenę 25,000 lirów. Służbisty komendant zażądał od władzy pozwolenia odbycia rewizyi w domu Toriny. „Jakto!" — zawołał przerażony prefekt Soragni, — „jesteś pan pewnym, że znajdziesz tam złoczyńcę?" — „Czy znajdę, nie wiem; ale wiem z pewnością, że się tam znajduje." Obecność księcia Humberta i ministrów, nietykalność deputowanego, do tego jeszcze z lewicy, zbyt silnemi były względami dla władzy, aby odmówiła upoważnienia do odbycia rewizyi; Leone mógł przeto swobodnie pozostać w Palermie, przysłuchiwać się uczonym rozprawom i oddychać balsamicznem powietrzem Conca d'Ore. Co do Toriny, nie mógł on odmówić w domu swym gościnności bandycie; jemu bowiem zawdzięczał swój mandat. Rokiem pierwej Leone narzucił okręgowi wyborczemu w Caccamo kandydaturę przyjaciela swego Toriny, o którą współubiegał się niemniej słynny bandyta Don Pasquale. Leone prosił jednych, pisał do drugich, a wszystkim wyborcom zagroził swym gniewem w razie, gdyby nie wybrali Toriny. Wyborcy zrobili jak chciał Leone. Ale nie dość mu było na tem, poprzysiągł on zemścić się na Pasqualu, który się ośmielił iść w zawody z jego kandydatem. W parę miesięcy potem znaleziono na krzyżowej drodze głowę Pasquala z karteczką na której stał napis: „Daruję rządowi włoskiemu 25,000 lirów, przeznaczone za schwytanie lub zabicie bandyty Pasquala. — Leone". W r. 1876 i 1877 powtórzyła się ta sama scena; w Caccamo chciano wprawdzie wybrać księcia Baucina, ale groźby Leona przysporzyły Torinie 400 głosów, i aby dowieść, że nie zrzekł się swego panowania w Caccamo, zamordował Leone trzy osoby w pobliżu tego miejsca.

— Było to nie u nas, ale być może, że w Konstantynopolu. Liczne towarzystwo literatów i dziennikarzy tureckich, zeszło się przypadkiem w sali wstępnej jednego z wielkich dygnitarzy. Czekano aby się dostać przed oblicze pana i bawiono się przez ten czas rozmową. I dziwna rzecz, nie mówiono o Midacie, ani o izbie konstytucyjnej, ani o Achmet-Vefik-Effendim, ani nawet o nowem wzburzeniu Softów, tem mniej o bójce żołnierzy w koszarach na Tophawé, albo o zajściu bankiera Greka z żydem na Galacie, o którem dzienniki ostatnie pisały. Jeden z głośniejszych publicystów i literackich krytyków, miał właśnie dość długą i przeciągającą się audyencyą, która zatrzymywała innych. Była więc o nim mowa. Służba się kręciła, stąpając cicho i dyskretnie po dywanach, podając fajki na długich cybuchach i roznosząc kawę w drobnych filiżankach, ujętych w filigranowe srebrne podstawki. Było dużo gwaru i ruchu i co najdziwniejsza, chwalono talent pisarza, sławiono jego wymowę, unoszono się nad jego szlachetnością, nad bezinteresowną, prawdziwie obywatelską dążnością, która go zawsze ożywia, ale czuć było w tych pochwałach pewną sztuczność na efekt obrachowaną. Długie sofy w około ścian sali, jak to zwykle bywa na wschodzie w mieszkaniach wszechwładnych paszów, zapełnione były publicznością, wśród której nie jeden dziennikarz rozpoznawał prenumeratorów i co gorsza owinięte w jaskrawe „foredże" i zakwefione białemi „jaszmakami" prenumeratorki. Czasami jakiś Turek, poprawiając fez na głowie, wmięszał się do rozmowy, robiąc ujemną krytyczną uwagę i sprowadzając chór przesadzonych pochwał do właściwych rozmiarów. Krzyk oburzenia, poparty gniewnem spojrzeniem czarnych oczu, barwnej i pięknej połowy towarzystwa, zamykał mu usta. Przyznać należy zresztą, że te publiczne pochwały w pewnej części były usprawiedliwione. Pisarz o którym była mowa, zasługiwał na uznanie, nie był pozbawiony łatwości pióra; miał obfitość słów na zawołanie, pewną żywość stylu, czasami dowcip, a jeszcze częściej dar analizy, jednem słowem przymioty w nowożytnej literaturze tureckiej nie codzienne. Ale zepsuty łatwemi sukcesami, nadęty miłością własną i dający się unosić przez sangwiniczny i nieokiełzany temperament rzucał się naraz na ludzi zasługi w sposób rażący, wobec jego własnych bardzo młodych zasług i które próby czasu nie przeszły. Był przytem powierzchowny, płytki, w języku swym nawet nieraz wodnisty i nadmiarę niedbały, a ponieważ czuł krew w żyłach, rozdrażnione nerwy i upajające pary miłości własnej buchające do głowy, ponieważ pragnął zajmować sobą opinię publiczną, hasał więc na spienionym rumaku moralności i banalnych zasad rozsądku, zaprawnych osobistem widzimi się, po szerokich niwach literatury. Tratował kopytami wszystko co było na drodze i ze szczególną satysfakcyą pastwił się nad literackiemi płodami, na które nikt bez niego nie zwróciłby nawet uwagi. Niewdzięczny, miały one tę wartość właśnie, że zwracały uwagę na niego! Otóż tego pisarza jednogłośnie w powyższy sposób chwalono, nie szczędząc superlatywów. Jeden z dziennikarzy reasamując pochwały podnosił miedzy innemi, że młody pisarz wziął sobie za zadanie walczyć z miernościami. W kącie sali siedział staruszek, nie wielki, szczupły, o błyszczących jak karbunkuły oczach, który słuchał rozmowy z uśmiechem filozoficznym na ustach, nie biorąc w niej udziału. Po słowach dziennikarza żywo się zerwał i zawołał: „Allah Kerim! Biedny człowiek, jakże go żałuję, cóż on musi mieć ze sobą do walczenia!" Nastąpiło powszechne milczenie.. Drzwi się otworzyły, audyencya była skończona.

— Kronikarz moskiewski między innemi zamieszcza w piśmie pana Katkowa następujący charakterystyczny rys policyantów w stolicy Moskwie: Po ulicy lecą sanki co koń wyskoczy, w sankach jakiś robotnik, a na kolanach u robotnika w poprzek leży jakaś młoda kobieta z ludu. Jedną ręką robotnik ją mocno trzyma, drugą usta jej zatknął, by nie krzyczała, a tuż za sankami leci podkasawszy poły człowiek jakiś zdyszany bez czapki. — „Łapaj, trzymaj!... na miłość Boga łapaj, ach tyczort pabiery!..." — woła człowiek lecąc za sankami, a za nim pędzi cały tłum ludu, uliczników i bab różnych, śmiejąc się do rozpuku. — „Ach ja nieszczęsny, ukradł, porwał!" — woła w rozpaczy człowiek zadyszany, nie mogąc już dalej ścigać sanek. Przyskakuje policyant, już gwizdawkę ujął, by dać znak innym, i pyta: „Co, kogo ukradł?.. co ty tak wrzeszczysz bałwanie, mów prędzej!..."—„Żonę mi porwał!" — jęknął chłop i poły od kożucha opadły. — „Tfu, jest czego wrzeszczeć!... A ja leciałem jak osioł jaki, myśląc że nie wiedząc co ukradł, maszynę jakąś lub co innego ciężkiego!..." — odpowiada policyant spluną wszy, obciera pot z czoła i wraca do swej budki.

— Śmierć wdów księcia Negalu, Jung Bahadura, które stosownie do zwyczajów indyjskich, dobrowolnie spalić się dały na stosie ze zwłokami męża, dała dziennikowi „Morn. Post." powód do poświęcenia obszernego artykułu dziejom tego okrutnego zwyczaju. Zasady wiary, powiada ten dziennik, dla samej swej natury, w ogólności zostają po za zakresem krytyki rozumu, jednakowoż w dziejach wyznań religijnych nigdzie nie znajdziemy tak jaskrawego przykładu nienaturalności, nieludzkości, jak właśnie w tym zwyczaju religijnym Indów, polegającym na ślepem przestrzeganiu tekstu mniemanych przepisów bożych. Zamiar rządu angielskiego zniesienia tak zwanej setti indyjskiej, był swego czasu uważany przez indów za zamach na ich swobodę religijną, na ich święte zwyczaje, których utrzymania nakazują im przepisy wiary pod grozą zatracenia. Bramini przytaczali ustępy z „świętych ksiąg" na poparcie setti, a uczony sankrycista Colebroake potwierdził, że mają słuszność. Mimo to, rząd angielski nie mogąc obojętnie patrzeć na podobną nieludzkość, we wszystkich sobie podległych prowincyach Indyj zabronił dobrowolnej śmierci na stosie. Aż oto dopiero najnowsze czasy dostarczyły dowodu, że przykazanie indyjskie co do palenia wdów polega na fałszowaniu w pierwotnym tekście świętych ksiąg jednego wyrazu. Profesor Wilson mianowicie dowiódł, że Bramini podsunęli do tekstu słowo agneh (ogień) w miejsce pierwotnego agre (ołtarz); poczem dla utrwalenia przepisu, ubrali sfałszowany tekst w liczne komentarze i formuły. Max Müller w swych „Essays" w zupełności wyświeca tę kwestyą. Zdaniem jego, ustęp odnośny w pierwotnym tekście ksiąg świętych brzmi: „Kobiety, które nie są wdowami, lecz mają dobrych małżonkow, niech przystępują (do mnie, do bóstwa) z ofiarą oliwy i tłuszczu mlecznego; kobiety zaś, które są wdowami, przedewszystkiem niech przystępują do ołtarza (agre) bez łez, bez troski, owszem pięknemi kosztownościami okryte." Tak tedy z powodu przekręcenia jednego wyrazu panował w Indyach przez tyle wieków okrutny zwyczaj, który niezliczoną liczbę ofiar pochłonął! Tysiące tysięcy wdów spłonęło na stosie żywcem, dobrowolnie lub poniewolnie, ponieważ w razie wahania się, używano przymusu. Daje to istotnie wiele do myślenia, mianowicie zaś dostarcza dowodu użyteczności studyowania sanskrytu.

— Dziwne są tajemnice duszy kobiecej!... Gazeta „Niedziela" opisuje oryginalny ślub, jaki zawarł 78-oletni starzec, głuchy i niewidomy, z 16-letnią dziewczyną — w guberni Czernichowskiej. Pewnego razu do wrót wiejskiego dworku, podszedł zgarbiony i trzęsący się już ze starości żebrak. Córka gospodarza wyszła z izby, lecz zamiast prosić o jałmużnę, ubogi odezwał się:—„Przyjdź do mnie do mieszkania, a ja ci coś dam." Ciekawa dziewczyna przyszła. — „Daj mi swą rękę!" — rzekł starzec. Ta podała... Żebrak omacał palec, zdjął z niego miedziany pierścionek i włożył złoty. — „Co to ma znaczyć?" — zapytała dziewczyna. — „Dowiesz się za rok" — odrzekł starzec. Od tego czasu żebrak zaczął grać rolę konkurenta do ręki panny. — „Żeń się ze mną!" — mówiła mu matka dziewczyny — mam córkę, która cię będzie oprowadzała." — "Nie chcę! — już mi się sprzykrzyły stare baby"—odrzekł niewidomy. Wkrótce okoliczni mieszkańcy ze zdziwieniem dowiedzieli się iż 16 letnia dziewczyna poślubia stojącego nad grobem starca, a przytem ślepego i głuchego żebraka. Wyświeżony adonis stanął u stóp ołtarza i macając ręką, zawołał. — „A gdzież ona?..." Za chwilę też zjawiło się urocze dziewczę, przyodziane pięknie za pieniądze żebraka. Obrządek odbył się szczęśliwie. Tylko ręka pana młodego drżała trochę, trzymając świecę, a panna młoda chowała się za plecy swego przyszłego przed oczyma ciekawych, którzy cały kościół zapełniali. Podobno na drugi dzień po ślubie, małżonek zasłabł i obecnie dogorywa. O! teraz to już pojmujemy tajemnice duszy kobiecej!...

Od Redakcyi.

Wny. J. K. w Wojaszówce. Półroczna prenumerata na „Tydzień" wynosi 8.80 otrzymaliśmy tylko 7 złr. Prosimy o nadesłanie jeszcze 180.

Wny W. B. w Brzeżanach. Żadna pomyłka w ekspedycyi być nie może. Jeżeli numera nie dochodzą nieregularnie lub wcale nie dochodzą, przypisać to jedynie należy złej organizacyi poczty.

P. K. Such. Pismo opisujące wystawę nie może wychodzić na kwartał przed wystawą. Racz pan być cierpliwym.

Treść Nr. 34.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.